

KUR

Moja rodzina po wojnie 20 roku została na Kresach. I ponieważ całe dzieciństwo spędziłam właśnie tam, pokochałam Kresy./płacze/ Ja teraz nawet jak mówię, jak sobie przypominam, jak tam jest pięknie, ile tam przeżyłam takich dobrych, pięknych chwil, to nie mogę mówić...

Mój ojciec był sędzią w Świsłoczy Ja skończyłam gimnazjum w Wołkowysku, wstąpiłam na prawo w Wilnie, na Uniwersytet Stefana Batorego. Właściwie dwa ostatnie lata gimnazjum, ponieważ ojciec był przeniesiony, spędziłam w Słonimiu. Więc w 39 roku byłam ~~xxxxxxx~~ w Wilnie, na prawie, którego nie skończyłam. No i wybuchła wojna. Byłam na drugim roku dopiero. Na wakacje przyjechałam do swoich przyjaciół do Wołkowyska, do Reni Kościakowskiej, tam, gdzie mieszkalam jak chodziłam do gimnazjum, bo moi rodzice mieszkali wtedy we Świsłoczy, bo tam było seminarium nauczycielskie. Więc wojna zastała mnie w Wołkowysku. Poszłam od razu do pracy do szpitala wojskowego, jako pielęgniarka, chociaż nią nie byłam, nie miałam wtedy zielonego pojęcia o pielęgniarstwie, ale prędko się można było nauczyć. Tam była mniej więcej do końca listopada 39 roku. Bolszewicy weszli do nas od razu 17 września.

To był okropny dzień. Pamiętam, stałyśmy obie z przyjaciółką rano i słyszemy okropny huk tych tanków, te tanki takie, jak to u nas się mówi... czołgi. I straszne mordy tych bolszewików! Naszych przypuszczalnie byłyby takie same, bo to w tych hełmach, zmęczeni jechali Bóg wie skąd. I my wtedy takie jeszcze naiwne, poleciałyśmy do kościółka takiego, garnizonowego, koło nas bliźutko, i pierścionki jakieś, to na nogi pozakładałyśmy, żeby z ręki nam nie zdarli. I tam w tym kościele klęczałyśmy i modliłyśmy się, a oni szli, i szli, i szli. Momentalnie pełno miejscowych złych ludzi, bo to nawet nie mieli pojęcia o prawdziwym komunizmie.

od razu z czerwonymi kokardkami, od razu ...

- Pólacy?

- Tak, Polacy, Żydzi, Białorusini, wszyscy ci, którzy tam mieszkali, wszystkich narodowości. Wołkowysk to była węzłowa stacja na Moskwę, takie miasto typowo kresowe. Dużo było koło Wołkowyska majątków ziemiańskich, niezbyt już dużych, inteligencji, a prócz tego ludzie, którzy w ich pojęciu chcieli może dobrze, ktoś ich zaagitował, ale źle zaagitował, którzy chcieli lepiej, a potem też sami na siebie byli źli.

- Pani na studiach nie należała do żadnej organizacji politycznej?

- Nie, nie było żadnych u nas partii, były dla chłopców korporacje, ale dziewczyn nie przyjmowano. Myśmy mieli taką swoją organizację, 13 osób nas było, kilku chłopców i kilka dziewcząt - to się nazywało Łaknących Stado Świń. Symbol to była mała porcelanowa świnka przypięta na prawej piersi. Czego Łaknących? "Pragniemy wiedzy, pragniemy kultury, cywilizacji, kulturalnych rozrywek, teatrów, kin, ciekawych dyskusji" - taki były nasze hasła. I co niedziela wszyscy się spotykaliśmy na obiedzie wspólnie, bo każdy był na innych studiach, z medycyny, z prawa, z polonistyki, takie towarzystwo mieszane.

Pamiętam taki dzień, idę przez parki, w Wołkowysku, stoi mój kolega i jeszcze jakichś dwóch z czerwonymi kokardkami. I ten kolega mówi do nich: o, tę jeszcze nada zarzezać! Tę jeszcze trzeba zarznąć! Ja stanęłam wtedy i mówię: zarznij! jak masz takie prawo, zarznij! Nic nie powiedzieli. Ci sami nasi koledzy, o klasę wyżej, przyszli na stację, bo ja przez gimnazjum na stacji u Kościakowskich mieszkałam - właśnie ten i jeszcze dwóch przyszli do domu Kościakowskich, weźcie tobołki, co wam tam trzeba, więcej nic i wont stąd. I zabrali cały dom, to był listopad. Już wtedy był aresztowany Reni ojciec. I wyrzucili nas. Myśmy poszli gdzieś do jakiejś pralni do sąsiadów, tam mieszkaliśmy, potem Reni mama z Reni młodszą sio-

strą uciekły już, bo zaczęły się wywozy, ktoś z przyjaciół uprzedził, ja zostałam.

Idę kiedyś ulicą, spotykam kolegę, też z czerwoną kokardką, z tej samej klasy, Oświecimski, jest w Warszawie teraz, jeżeli jeszcze żyje, przyszedł do mnie. "Ty mi się nie odkloniłaś na ulidy". A ja na to, nie odklonię się milicjantowi z czerwoną tą, a po co przyszedłeś, zobaczyć, gdzie jest pani Kościałkowska, gdzie jest <sup>Kryścia</sup> ~~Zosia~~, co się z nimi stało? Bo może chcesz gdzieś powiedzieć? Nie, ja wiem, ale nie dowiesz się ode mnie. Ale on, widocznie było mu gorąco, bo tam był taki kocioł, pralnia, zawsze się tam paliło, rozpiął swój pas, odłożył z rewolwerem na stół i tak siedzimy. W pewnej chwili ja zupełnie niechcący poruszyłam ręką koło tego rewolweru, Boże, on myślał, że ja go chcę zabić! Oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru. Zerwał się, a ja mu rzuciłam ten rewolwer i powiedziałam: nie bój się, taki zabiciem to ja gardzę, żebym ja miała cię zabić, jak ty tutaj siedzisz, jak przyszedłeś do mnie do domu i ja mam cię zastrzelić? Zabieraj to i wynoś się. Spotkałam go dopiero w Warszawie, przyszedł usprawiedliwiać się okropnie i powiedział, ja już nie jestem taki-siaki itd. Nie chciałam nawet z nim rozmawiać.

Rosjanie objęli zarząd szpitala. Pracowałyśmy tam z Renią obie i kogo się udało, kto mógł chociaż trochę chodzić, a jak nie mógł to nocami jakoś tam się go wyprawdzało i schowało gdzieś. Bo przecież wiadomo było, że ich bolszewicy aresztują i wywożą. Żołnierzom niewiele groziło stosunkowo, ale oficerowie. W dzień, kiedy bolszewicy weszli, od razu ukazało się ogłoszenie, że wszyscy oficerowie armii polskiej mają stawić się i zameldować w NKWD, tam i tam i oddać broń. I kto był naiwny i myślał, no co, no tylko się ujawnię, to skończył w Katyniu. A kto był jakiś trochę mądrzejszy, to się poprzebierali i jak się udało, to się uratowali, jeżeli nikt ich nie zdradził. W Wołkowysku był 3 Pułk



Strzelców Komnych, ale ten pułk wyszedł już na front, ale wracali, przecież już się wszystko skończyło, pod Kockiem jeszcze się bili, do 4 października. U nas zatrzymało się 4 oficerów, zapytali, czy ~~na~~ parę dni mogą ~~się~~ pobyć. Pytają, co mają robić, wisi ogłoszenie o tym ujawnianiu się. My mówimy: broń Boże nie iść, uciekajcie absolutnie! Nie wytrzymali nerwowo, poszli. I naturalnie, już nie wrócili.

Tak, jak potem Żydzi, kiedy Żydów wywożono, kiedy przecież część część mogła się uratować, ale oni zgłaszała się do Niemców. To już za Niemców. Rosjanie też wywozili Żydów.

Dwa razy chodziłam ze szpitala do Warszawy. Żołnierze, którzy umierali, prosili, żeby ich rodzinom przekazać obrączkę, zegareczkę, czy jakąś pamiątkę, prosili: smostro, ja wiem, że ja umieram, proszę, może jakiś cudem, tu jest adres, proszę mojej narzeczonej, albo mojej matce oddać, jakieś medaliki, czy coś innego.

Raz poszłam z tym wszystkim do Warszawy, przez granicę. Złapali mnie na granicy, siedziałam w stodole, uciekłam stamtąd. Granica bolszewicka to jest koszmar, to nie ma na świecie takiej granicy. To jest pas szerokości 3 km, cały zaorany i zabronowany i tutaj jak kot przejdzie, to widać to zaraz, zaraz się bronuje. Więc ja szłam, ale płynęłam łódką przez Bug. Wracałam lądem już. Na tym pasie złapali mnie, do jakiejś stodoły, masa ludzi tam była, i stąd, i stąd, to była wędrówka ludów. Ale uciekłam z tej stodoły i wróciłam. ~~Drugim~~

Przyjechałam do Warszawy i mam pełnię tych listów, mam adresy, wiem, kto żyje, kto nie, kto został inwalidą, amputowane nogi itd. Poszłam do jednej rodziny mówię, jestem pielęgniarką, wasz syn żyje. No, rzucają się na szyję, całują, ale co i jak? Pomału dochodzę do tego, że w szpitalu, ma obie nogi amputowane. I wtedy zaczęło się coś straszego. Ta rozpacz rodziców! Więcej nie poszłam do nikogo, odniosłam wszystko z adresami do Czerwonego Krzyża.

Drugi raz poszłam do Warszawy z taką samą misją, przez granicę. To był ciągle listopad.

Szpital dawno już objęli Rosjanie. Zwykli żołnierze leczyli się i szli do domu, kogo się udało u oficerów, to się uratowało, reszta skończyła gdzieś w obozach czy w Katyniu.

Nie mogłam już znieść tego, tych stosunków, jak bolszewicy przychodzą do sal, jak tych chorych legitymują, każą się ubierać, wywożą ich, to straszne było.

Zaczłam pracować w takim jak to dziś się mówi sarnepidzie. Jest tam żona jednego z naszych oficerów, mówi, pani Irenko, musimy coś robić. To nie była ZWZ ani Służba Narodowi, zdaje się jakoś taki, myśmy byli bez nazwy, taka mała organizacja, której było dość dużo, Chowamy broń, /przeważnie to, zakopujemy. Sami też jesteśmy uzbrojeni, każdy ma rewolwer, jakieś granaty. Pojechałam do Lwowa, gdzie była pani KOściałkowska z Renią i z młodszą córką Krysią. Zawiozłam jakieś zapasy, kasza, cukier, mąka, a one tam przecież były tak jak stały, uciekły wtedy, jak mówiłam. I wracając ze Lwowa, to był maj 40 roku, przyjeżdżam do Wołkowyska i zostaję aresztowana. Okazuje się, że wszyscy już nasi, osiemnaście osób, młodzieży, są aresztowani, tylko ja jeszcze zostałam. Siedzę w więzieniu w Wołkowysku.

Warunki są okropne, ~~gł~~ cela około 12 m<sup>2</sup>, to tam siedzie 20, 30 osób, jest maj, czerwiec, upały. Na początku czerwca dołączają do nas chyba do setki, mogliśmy tylko ciasno stać albo leżeć na boku obok siebie, jedni na drugich. Bo aresztowują wszystkich Żydów, którzy uciekli od Niemców, bo myśleli, że tutaj się jakoś uratują. Wszystko ~~z~~ tzw. bieżący, przez tę granicę, bo Niemcy powiedzieli, proszę bardzo, chciecie, wyjeżdżajcie, jeszcze wtedy nie rozwalali Żydów, ani nie smażyli ich. Taka młoda Żydówka np. mówi np.: zobacz, jak ja wyglądam, jestem

tylko w majtkach i w staniczku, wzięli mnie z plaży, przyszli i wygarnęli, Rosjanie. Wszyscy ci Żydzi siedzieli może jakieś dwa-trzy tygodnie i wszystkich wywieźli. Do tej pory jeszcze niektórzy tam są. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jeżeli tam nawet się znaleźli, w obozie, to jednak nie skończyli w piecu. Mam taką znajomą serdeczną, Żydówkę, która mówi: ja muszę kochać Związek Radziecki, bo moi wszyscy zginęli, a ja, widzisz, żyję. Pracowała gdzieś na Uralu jako księgowa, wróciła w latach 50-tych, i żyje.

Siedziałam tam jakieś dwa miesiące. Zarzucali mi paragraf 58 a i b. To znaczy więzień polityczny, zdrada ojczyzny, z bronią w ręku. Mówiłam im, że ja swojej ojczyzny nie zdradziłam, nigdy, ale to nic nie pomagało. Wszyscy Polacy dostawali wtedy takie paragrafy.

Śledztwo było paskudne. Do tej pory pamiętam, że mój "sledowatiel" nazywał się Doliński, polskie nazwisko, możliwe, że i był Polakiem, a może jego rodzice. Śledztwo toczyło się po rosyjsku, ale ja mówiłam po polsku, ale nie pamiętam, żeby był tłumacz. Na Kresach to się człowiek osłuchwał z tym językiem na wsiach chłopi, nie rosyjskim, ale jak mówili, tutejszym, takim łamanym białoruskim. To, co pisze Auderska. Rozumieć, co do mnie mówił, rozumiałam. Myśmy zresztą, kobiety polskie, miały taką zasadę, żeby nigdy na śledztwach nie mówić po rosyjsku - niech oni się do nas dostosowują, a nie my do nich. Ja się nauczyłam dosiedzenia u nich <sup>na wsiach chłopi,</sup> skonałe przez 13 lat, ale nie chciałam mówić nigdy. Nie mam żadnych śladów pobicia, ale bili. To w głowę przyłoży, to kolbą przez plecy walnie; albo zapalą parę reflektorów mocnych, pani siedzi, nie można powstać, zmienić pozycji, godzinami. On sobie siedzi, potem wyjdzie, zostawi kogoś do pilnowania i tak całą noc to trwa. To było bardzo męczące. Albo nadeptnie na nogę i tak stoi. Mnie się nigdy zresztą nie zdarzyło



zemdleć na śledztwie, co bywało. Byłam wtedy dwudziestoletnia, silna, przez te wszystkie lata nie chorowałam ani jednego dnia, tak byłam silna. Pamiętam z tego śledztwa takie wydarzenie. Ponieważ to był czerwiec, ktoś przyniósł temu śledczemu cały talerzyk poziomek ze śmietaną i z cukrem. Ja patrzę, nie widziałam od dawna nie tylko poziomek, w ogóle niczego dobrego do jedzenia. On na chwileczkę wyszedł. Wzięłam ten talerzyk, zjadłam wszystko i odstawiłam. Nic nie powiedział, popatrzył tylko. Myślę sobie - mam satysfakcję. Kiedyś indziej słyszę - muzyka gra z pobliskiego parku, jest wieczór. Ten śledczy podchodzi do mnie, obejmuje mnie za ramiona, chodź<sup>gie</sup> do okna, prowadzi mnie w objęciu: słyszycie, jak muzyka gra, ja bym z wami raczej poszedł potańczyć do tego parku, a nie tutaj siedzieć i prowadzić to śledztwo, bo wy nie chcecie nic mówić, utrudniacie tylko. Ja mówię - ja z tobą!? Tańczyć!? Co tobie do łba przychodzi!? Nic nie powiedział. Pewnego dnia przychodzi, mówi tak: no, tutaj jest, widzę, że wy nie jesteście taka winna, ale jeżeli chcecie wyjść na wolność, ~~mi~~ musicie powiedzieć, kto was wciągnął do tej organizacji, o tu jest - pokazuje mi arkusz złożony na czworo - tutaj jest wasze zwolnienie. Ja wzięłam wzięłam, czytam, rzeczywiście, podpisy, pieczętki itd. Wzięłam to, złożyłam, jak było, na cztery, przedarłam, rzuciłam na stół. Jego wtedy cholera wzięła. ~~Pob~~ mnie po twarzy, po głowie.

Polaków, i Polek, którzy się załamali, było może 10 % . Tak wszyscy się trzymali bardzo twardo. Nikt nie zdradził, ja nie powiedziałam żadnego nazwiska. Po co jeździłaś do Lwowa, pyta mnie, jako szpion? Nie, do swojej koleżanki, że dostanę tam pracę. Jak się nazywa koleżanka? Jadwiga Ciołek - mówię bez zajknięcia, bo nigdy nie słyszałam o nikim o takim nazwisku.

On pisze, a ja się prawie duszę ze śmiechu.

Sledztwo się kończy. Był taki dzień straszny. On naciskał guziczek i przychodziło takich dwóch, trzech, byków, w skórzanych płaszczach, w czarnych rękawiczkach, w tych czapkach enkawudzistów. Jak śledczy był sam, to on mógł uderzyć, a tak to oni wszystko to wykonywali. Jak się tylko zdeherwował, wołał ich, guziczek naciskał i oni stawali, rękawiczką o dłoń trzepali i czekali na znak, czy bić. Kiedyś po południu wchodzę i widzę - leży jakiś młody chłopiec, przykryty swoim płaszczem szkolnym, a tam gdzie głowa, cieknie strużka krwi. Nie wytrzymałam, podbiegłam, patrzę, to jeden z moich nie kolegów, bo on był młodszy, ale z tych, co ze mną pracowali w stacji epidemiologicznej. Ja krzyczałam bandyci! Ten chłopiec żył, i wyżył. Ale po miesiącu był ze mną przewieziony do twierdzy i umarł tam na gruźlicę ciężką. <sup>Wyprowadzony do domu</sup> Ojciec go na rękach przyniósł i umarł tam, w Wołkowysku. Widziałam go na trzy dni przed śmiercią. Mnie nigdy tak strasznie nie zbili.

~~W~~ więzienie w Wołkowysku to był biały domek otoczony murem, obliczony na kilkadziesiąt osób miejscowych przestępców, dla jakichś złodziejasków i td. Nic w tych celach nie było. Za polskich czasów na pewno były jakieś prycze i nakrycia, ale teraz była goła ziemia, nic. Żadnych materacy, <sup>nawet siana,</sup> żadnych kocy, nic.

Budzili nas o 5 rano. Budziłam się czasem w nocy z czyimś palcem od nogi w ustach, taka była ciasnota. Pobudka, szliśmy do ubornej. To był koszmar. To była cela damska, te nasze miesiączki! Nic nikt nie miał, nie mógł wziąć przecież. Do toalety prowadzili nas do komórek na podwórzu, na ironię, dla kultury, jak mówili, dawali nam kawałeczek papieru wielkości dłoni - papier twardy, z jakichś dzienników, ogłoszeń itp. pism ilustrowanych.

Co dawali jeść? Te zapachy, które się rozchodziły po wię-



zieniu i chyba po całym mieście, były okropne. To były małe solone rybki, mniejsze od szprotek, już trochę śmierdzące, ani wędzone, ani nic, tylko solone. Z łbami, oczami, ogonami, gotowane i sypnięte trochę kaszą jaglaną. Ja uważałam, że muszę jeść, zresztą nigdy nie byłam wybredna, byłam zwykle strasznie głodna, więc jadłam to. Ale były panie, które płakały, nie mogły tego jeść, nie wyobrażały sobie, że to przełkną.

Rano dawali grubą kromkę chleba, może 200 g i kawa czarna zbożowa bez cukru, koloru słabej herbaty. o 12-1 był obiad, czyli talerz tych rybek, raz rzadkich, raz gęstszych. Czasem na zmianę dawali te rybki z kapustą, bez kaszy, z tym zielonymi liśćmi w wierzchu kapusty, co się je zwykle wyrzuca. Srodki kapusty szły dla obywateli radzieckich, a dla więźniów te liście. To zresztą było potem wszędzie, ta kapusta. Kapusta z rybą, to już sobie trudno wyobrazić ten smród. Wieczorem znów kawałek chleba i ta kawa. Paskudne było jedzenie. Nigdy nie dostałam żadnej paczki. Raz w życiu jeszcze w Wołkowysku dostałam płaszcz wełniany i sukienkę. Bo do więzienia poszłam w samej sukience, tak mądra, że mnie na pewno zaraz wypuszczą.

Pamiętam, jak weszłam do celi, usłyszałam za sobą zgrzyt przekręcane go klucza, ~~\*/~~ rzuciłam się do tych drzwi. A za mną płacz - patrzę, siedzą na narach takie dwie panie znajome mo-  
ich rodziców, ledwie je poznałam, bo siedziały już <sup>od miesiąca,</sup> ~~jakixxxxx~~,  
Pani <sup>Kotpaite</sup> ~~Kotpaite~~ i pani Bucharinowa, z majątków ziemskich. I one patrzą na mnie: Boże, i to dziecko tutaj!

Pewnego dnia przychodzą, zabierajcie się z rzeczami, wychodzimy. Zawieźli nas ciężarówkami na dworzec do wagonów bydłych. Ze 3 dni jechaliśmy do Białego-stoku. Nie miałam już wtedy nikogo, rodzice nie żyli. Brat w 39 roku ~~na Boże Narodzenie~~ został w Wilnie. Przyjechał na Boże Narodzenie, bo nikt z nas nie wyobrażał sobie, że święta możemy spędzić osobno. Wchodzi

nas, wszystko na stole już naszykowane, Reni mama i Reni siostra i ja, Wigilia jaka tak naszykowana. Dzwonek, wchodzi mój brat. Ucieszyliśmy się bardzo, siadaj, ręce myj. Drugi dzwonek, idzie NKWD. Okno otworzyliśmy i on uciekł do ogrodu. Cichcem uciekł do Słonima, ja na drugi dzień pojechałam do tego kolegi, gdzie on się zatrzymał, pożegnałam się, i on poszedł z powrotem do Wilna i więcej go w życiu nie widziałam. Jego historia jest taka, że w drodze do Francji z internowanej Litwy jechał przez Sztokholm i został tam, miał 40 stopni temperatury, dostał gruźlicy-prosówki. I tak jest pochowany, w Sztokholmie.

W lipcu w lipcu  
Więc wywieźli nas do Białego-stoku. Cella 8 osób, też polskie więzienie, cela dla 3 osób, były żelazne łóżeczka, te drapak, bez żadnych materacy ani okryć. Tam była taka pani Rychlik z Warszawy, która szła przez granicę. Stała całymi dniami, stukająca w drzwi, że jest niewinna. Zosia Szukiewiczówna, którą tam spotkałam, z którą przyjaźnię się do dziś.

Rodzina Zosi - ojciec, matka, syn i cztery córki, wszyscy aresztowani przez bolszewików. Ojciec Zosi siedział przez ścianę. Cuda wyprawiałyśmy, żeby porozumieć się z tymojcem. Na spacerze, bo miałyśmy 10 minut spaceru, okno odchyłałyśmy, Zosia krzyczała: tato, ja tutaj jestem. Potem się okazało, że była cała rodzina. Jedną z sióstr wywieźli do obozu i z armią Andersa wyjechała, teraz jest w Kalifornii i dobrze się jej powodzi. Zosia z bratem mieszkają pod Warszawą.

~~Wybuch~~ Potem przenieśli nas znowu do celi, gdzie było 1000 osób. To już była jesień. Wybuchł tyfus, czerwonka i straszny świerzb, wtedy część przenieśli nas do Brześcia, do więzienia a potem do twierdzy. Ja nie miałam i 4 inne osoby z całej naszej celi nie miało świerzbu. Ale reszta miała. My na dworze myłyśmy się całe pod kranikiem z zimną wodą, w szalonym tempie.

Tylko te, które to robiły, nie dostały świerzbu. Wieczorem przychodził żołnierz z beczką maści dziegciowej i wszystkie te ze świerzbem malowały się na golasa tymi pędzlami z maścią. Smierdziało strasznie i malowało na Murzyna, na czarno.

Ja nie dostałam świerzbu, nie dostałam czerwonki, nie dostałam tyfusu. Wyjechałam i ocknęłam się w tej twierdzy.

Twierdza wybudowana za carów, nad samym brzegiem Bugu, przy moście z Brześcia do Terespoła. Pół twierdzy w ziemi i tylko półpiętro na zewnątrz, jak to twierdze budowano. Mury przegrube, za dobrych czasów tam chyba palono w piecach, piece więc były. Te kraty, to wszystko straszne. W tołacie, jak nas wyprowadzano były takie wysokie kolumny, jak doryckie, nie doryckie. Okno równo z ziemią, widać było trochę co jest na podwórzu, tego nie zabrahiano.a

Około 40 dni spędziłam w karcerach. Łącznie, nie za jednym zamachem. Na przykład na początku śledztwa, ~~zapomniałam coś powiedzieć o sobie,~~ to nie do celi mnie prowadzą, tylko do karceru. Siedzę tam dzień, dwa, trzy, znów na przesłuchanie. No, będziecie teraz mówić? Nie! No to znowu do karceru. I tak po 5-6 dni z przerwami siedziałam w karcerze. To była piwnica wielkości ubikacji, taka celka i tam już nic nie było. Jeden z nich wyglądał tak: w przeddzień mojego wyjścia na wolność zresztą, to był cement, woda około pół metra na podłodze i na środku taki ~~mały~~ mały pienuśzek. Ja cały czas na tym pienuśzku stałam, bo co będę w wodzie. Wolno było zabrać albo koszulę, albo sukienkę na sobie. Wolłam być w sukience. Biegałam po tej wodzie, zdejmując te moje przechodzone trepy, miały już 13 miesięcy, potem znów wskakiwałam na ten pienuśzek. ~~Przy~~ O spaniu w ogóle mowy nie mogło być. Przychodzi śledczy: ile już tu siedzicie? Macie tam napisane, odpowiadam. Jak będziecie tak się prowadzić - on na to - to tuberkuloz was zeżre. Ja się wtedy



zachowywałam obrzydliwie, bo potem to już godnie, ale teraz mówię mu: zanim mnie, to może wpierw ciebie. Wymówiłam w dobrą godzinę, bo na drugi dzień to już jego prowadzili na rozstrzał, a ja wyszłam na wolność. I widziałam to wszystko.

Wieczorem wypuszczają mnie z tego karceru do celi. Frzycho-  
dzą. Ze swego majątku miałam kocyk, grzebień mojej mamy, pamiąt-  
kowy, i ten płaszczyk. Zawsze im mówiłam, weście w razie czego  
ten kocyk i ten płaszczyk, może i mnie spotkacie, a jak nie, to  
wam się przyda, te moje pamiątki.

Rano wstał piękny dzień, <sup>przychodzi żołnierz,</sup> /otwiera z tych wszystkich cholernych zamków, do ubomej. Najpierw 25 pań, a wtedy siedziało równo 100. Poszłyśmy. I raptem jedne myślały że to piorun, inne same nie wiedziały co. Te kolumny doryckie to jakoś tak się chwiją, aż falują, gruz się zaczyna się sypać, a ja podbiegam do tych krat i krzyczę: o Boże, wojna i wolność!

I zaczyna się krzyk i płacz, gruzy się sypią, bombardowanie okropne, młoda dziewczyna, taka przytomna, krzyczy: zawiązać sobie rącznikami usta, od tego pyłu, żeby można było oddychać. Ja mówię, kłaść się na podłodze, tylko ja i tanta Marysia o ścianę oparte stoimy i wszystkie na zmianę modlimy się - pod Twą obronę i Ojczyźnie Nasz, i wszystko, co nam przychodzi na myśl, o Boże, uratuj nas, tu uspokajamy tante panie, leżcie cicho i nie ruszcie się. I tak minęło 5 godzin, a zdawało nam się, że może godzina najwyżej. Musiałyśmy przekrzykiwać te bomby, ochrypłyśmy zupełnie z tą dziewczyną. Nagle wszystko ucichło. My widzimy przez okno, jak nasi śledczy i nasi strażnicy, i nasz prokuraot, dwóch Niemców, ręce do góry, tylko prowadzix ich dwustu, czwórkami szli, i od razu ich rozwalili. I na to już nie mogłyśmy patrzeć, mimo, że kiedyś mówiłyśmy sobie: jak wyjdę, to będę ich tępym scyzorykiem mogła na paseczli kroić. Nic podobnego, absolutnie. Żal się nam zrobiło tych, tych lu-

dzi, których na rozstrzał prowadzili. Mimo, że dla nas byli tacy straszni.

Zastanawiamy się, jak stąd wyjść? Zamknięte, zamurowane.

Wzięłyśmy pokrywę od kibla, że laznią, walimy w drzwi, nic to nie pomaga, nie da się. Rozebrałyśmy piec w końcu, i przebiłyśmy się przez ten mur. Tam usłyszeli mężczyźni. Tam był jeden z tych starszych żołnierzy, Rosjanin, który miał trochę litości. Z dorosłymi zabierano też dzieci -- 10 - 15 -letnie, i tacy chłopcy siedzieli w celi, on otworzył im, jak usłyszał to bombardowanie, wypuścił przynajmniej te dzieci. Jego potem mężczyźni uratowali. Prędziutko przebrali w jakieś łachy i razem z nami wyszedł z tej twierdzy. Więc ci chłopcy usłyszeli, oni z tamtej strony wyrwali te cegły, a my z tej i jakoś powiększyliśmy tę dziurę. I tak te 25 jak śledzie wyszłyśmy z tego pieca.

Wszyscy z cel też wykazili przez piece. Poszliśmy do magazynu, tam były przygotowane porcje chleba dla nas na śniadanie i worek z cukrem, dla nich. Stał jeden mężczyzna, dawał każdemu po kromce chleba, żeby dla wszystkich starczyło i po garści cukru do ręki. To co taka garść, wzięło się i od razu wsyppało do ust ten cukier. A w mojej celi siedziała pani Matylda, polska Niemka. Jesteśmy na korytarzu, nie możemy wywalić tych drzwi na podwórze. Nagle patrzymy, idą Niemcy, bagnietani czy czymś wywalają te ~~drzwi~~wrota. Czy jest ktoś, kto zna niemiecki? To ta pani Matylda mówi: ja jestem Niemką. Przez nią przetłumaczyli: jesteście wszyscy zwolnieni z bolszewickiego więzienia, wszyscy ręce do góry i wych odzież, wyprowadzą nas na łączkę za mur, nad rzeką i tam mamy przeczekać, aż ucichnie bitwa. Myślimy: przecież to wróg, a nie przyjaciel nas uwolnił, więc kto mógł, złapał jakiś węzełek i nie podniósł rąk do góry, że niby mam zajęte ręce.

Bo to jest straszne upokorzenie pani tego nie przeżyła i nigdy

## Uzupełnienie do 1941 roku

Po wyjściu z twierdzy nie mogłam wrócić od razu do Wołkowyska, gdzie zgodnie z umową mieliśmy się spotkać z przyjaciółmi. Z twierdzy wyszłam z kurzą ślepotą, mogłam istnieć tylko w dzień, musiałam się odżywić jako tak.

~~Z twierdzy~~ Z twierdzy wyszliśmy do miasta, słyszemy dzwony w kościele. Byliśmy zaproszeni do jednej z pań, żeby wypocząć. Ale nie mówiąc do siebie, wszyscy skierowaliśmy się do kościoła. Była godzina 6, czerwcowe nabożeństwo. Nic absolutnie nie pamiętam z tej bytności w kościele, dopiero potem dowiedziałam się, co się tam ze mną działo, po za tym, że nabożeństwo było niezwykle uroczyste. Po paru tygodniach poszłam do księdza, dowiedzieć się, czy nie ma kogoś z Wołkowyska. Ojciec zawsze mi radził: jak się zgubisz, <sup>w jakichś tarapatkach,</sup> jak coś - to zawsze idź do księdza. Przychodzę do księdza, przedstawiam się, a on, jak się okazało, był znajomym mego ojca. "Ja cię dziecko nie pamiętam, ale zapamiętałem cię z nabożeństwa czerwcowego. Wszyscy się gorąco modlili, ale twoja modlitwa była jedną z najżarliwszych. Przyszłaś, uklękłaś przed ołtarzem, przez cały kościół przedfilowałaś. I nie modliłaś się, tylko krzyczałaś: dziękuję Ci, Boże, dziękuję Ci, Boże! Ja patrzyłem i wiedziałem co to znaczy.

Wróciłam do Wołkowyska, zastałam tam już Renię, która też siedziała w więzieniu, w Białymstoku, tylko trochę krócej niż ja. I zaczęłyśmy <sup>taki jakby</sup> jakoś żyć. Prowadziłyśmy/punkt pomocy dla znajomych, dla wojska. Jacyś ziemianie przywozili ziemniaki, makaron, jajka, kapustę, mleko, a myśmy gotowały i codziennie żywiłyśmy głodnych i potrzebujących. Do pracy nie poszłyśmy żadnej, przez całą wojnę. Wtedy wszyscy sobie pomagali, co kto miał, to się ludzie dzielili.

W czasie wojny parokrotnie jeździliśmy do Lwowa. Pomagali nam kolejarze, a myśmy załatwiały w majątkach sól w workach, bo po tamtej stronie nie było w ogóle soli. We Lwowie była straszna nędzka, jeździłam od czasu do czasu zawieźć coś znajomym.



Uzupełnienie do 1941 roku

Po wyjściu z twierdzy nie mogłam wrócić od razu do Wołko-

Do AK wstąpiłam gdzieś po roku, bo <sup>dałam słowo</sup> obiecałam jednej znajomej pani, że nie będę się do niczego mieszać; ale nie wytrzymałam. W AK byłam w legalizacji, to znaczy przerabiałam dokumenty, metryki osób zagrożonych ~~wojakiem~~ wywiezieniem do Niemiec. Miałam od księdza parę pieczętek i robiłam te dokumenty.

W 43 roku Niemcy masowo aresztowali w naszym powiecie, zginęła wtedy znajoma pani z rodziną. Kiedy ją aresztowali, pobiegłam do więzienia, dowiedzieć się o jej los. Aresztowano mnie i przesiedziałam w ciemnicy jakieś 8 godzin, wiedzorem mnie wypuść ili. Dobrze to zniosłam, miałam praktykę. yWtedy rozstrzelano wiele osób.

Moja służba w AK to było szkolenie sanitarne, mieliśmy wciąż nadzieję, że będzie front, że będziemy się bić. Bardzo to lubiłam i przydało mi się potem na zesłaniach i w Polsce. Była taka trójka - Doktor Mordasewicz z żoną i ja. Czasem uprzedzałam o aresztowaniu, a potem byłam typową łączniczką, rozwoziłam gazetki i załatwiałam wiele spraw. Gazetki były przywożone z GG albo z Białogostoku. Nosilałam rozkazy dla szkolących się tam podchorążych. Niektóre panie zajmowały się nauczaniem, ale dzieci było mało, wszystko to przecież było wywiezione, ludzie razem z dziećmi, mało kto został, przecież były już dwie wywózki radzieckie, w styczniu i kwietniu 40 roku. I tak jakoś nie pracując jakoś przebiekowałam tę wojnę, do przyjścia Sowietów.

tego nie przeżyje, ale to jest straszne, kiedy każą człowiekowi tak jak baran podnieść ręce i prowadzą!

x x x

Przeżyłam okupację w Wołkowysku, Niemcy też mnie zamknęli, ale tylko na parę godzin. W lipcu 1944, gdzieś 14-17 lipca. Zbliżył się front radziecki, Niemcy się cofali, niestety nasz pan Hitler przegrał mową. Katusze wyją, to teraz nic, ale wtedy to była taka nowa broń. Każdy sobie kopie okop czy jakiś dołek, nie to, że Wołkowysk ma się bronić, ale to każdy siebie ma bronić. Niemcy się pakują, czekają na rozkaz wyjazdu. Niemcy palą miasto. Siedzimy w ogrodzie, w okopku przykrytym deskami i ziemią, ja z koleżanką, <sup>też Irką,</sup> i z jej mamą. I ta obie zdrzemnęły się. Raptem jak nie walnie tuż obok, wszyscy się obudzili, one do mnie ~~zapyta~~ co to? nic, odpowiadam, front, to tutaj walą, obok upadło. To czemuś nie obudziłaś? Ja mówię: bo chciałam, żebyście umarły we śnie, to łatwiej. Do tej pory ta <sup>Irka</sup> ~~nie wspomina~~ mi to wspomina.

Niemcy wyjeżdżają, wchodzi bolszewicy. Zaczynają się znów aresztowania. Ja zwracam się do jednego pana z organizacji, co ja mam robić? Nie, musisz zostać, Irka, jeżeli wszyscy ucieknemy, to te ziemie zostawimy im? Ja myślę - rozsądnie mówi, co robić. Zostałam. Zostałam po to, żeby mnie znów aresztowali.

~~13 grudnia~~ zaczęłam znów pracować w szpitalu. A oni znów rozgościli się i znów sobie przypomnieliśmy, co to są bolszewicy. Chodzę do szpitala, pracuję. Sami Polacy tam pracowali, tylko głównym lekarzem był bolszewik. Jest 13 grudzień, ta trzynastka całe życie mnie prześladowa, śpię, walenie do drzwi, a spałam u tej koleżanki, tej Irki. Jej mama wstaje, kto tam? NKWD, otwierać. Irena Kuran! A Irka mówi przerażona: po ciebie! Za chwileczkę słyszymy: Irena Kozłowska! Ja mówię: i po ciebie.



Ja już wtedy byłam wytrenowana po 13 miesiącach więzienia. Wiedziałam, co zabrać, co spakować, Irka nic nie wie. Ja mówię przez drzwi: zaraz, mam czas. My tylko na sprawdzenie dokumentów! Ja mówię: znam was! Pakuję się, dwie torby, chleb na pół, kiełbasa na pół, dla mnie i dla Irki. Ciepłe rzeczy, oni prędejj, prędejj! Weszło ich ośmiu, na nas dwie dziewczyny. Ja poszłam do kuchni i szykuję jedzenie dla siebie i dla Irki. Co w y tam! - krzyczą. Muszę zjeść przyzwoitą kolację jeszcze w domu - może ostatnią. Ale nie poszli za mną do kuchni. Mogłam wtedy uciec. Ale bałam się, że wtedy odpowie moja koleżanka, jej matka, i dziadek i ojciec. Najadłyśmy się, ja miałam apetyt, tamta nic nie mogła przekonać.

Wsadzono nas ~~xx~~ do... Aresztowali wtedy około 350 osób.

- Jak się Polacy zachowywali teraz, kiedy bolszewicy weszli drugi raz?

- Jak byli Niemcy, Polacy chodzili w kapeluszach, w pantoflach, jeżeli kto jeszcze miał. A jak przyszli bolszewicy, każdy omotał się byle jaką szmatą, chustkę na głowę, że niby są ludem. Wszyscy się bali. Jak szli ulicą, nikt się na nich nie patrzył, każdy bał się, że nagle podejdzie, powie: pażaksta, i zabierze i koniec. Ludność była strasznie sterroryzowana, to samo co u nich do dziś jest, pomimo Gorbaczowa, ten przestrasza ludność.

- A czy byli tacy, którzy z nimi współpracowali?

- Owszem, byli, mojej koleżanki ojciec, pan Juchniewicz, to było straszne, jeżeli ktoś szedł na współpracę albo z Niemcami, albo z bolszewikami. Mojego kolegi ojciec też. W 41 roku ludzie z organizacji polecili od razu jek uciekli bolszewicy do tego ich NKWD, do naszego byłego starostwa i co mogli, jakiej dokumenty wzięli. Nasze rozprawy, i między

innymi listy konfidentów, pseudonim ruski, nazwisko itd. Młodość jest okrutna, i syna, który nic nie był winien, który nawet nie mógł wiedzieć, że jego ojciec współpracuje, z tym synem myśmy zerwali zupełnie stosunki. Nie chcieliśmy go nawet w domu przyjąć.

Parę dni siedzieliśmy w areszcie, piątej nocy wywożą nas do Grodna. W Grodnie siedziałam do 31 grudnia. Wywołują mnie wtedy z celi i na etap do Rosji.

W Grodnie obchodziliśmy jakieś święto, nie pamiętam jakie. Ale nie chodziło o Boże Narodzenie. Ktoś płacze, ktoś się denerwuje, ktoś mówi, że popełniłby samobójstwo, parę pań zaczęło walić w drzwi. Nagle drzwi się otwierają, stałem w drzwiach w tych czarnych płaszczach skórzanych ich kilkunastu i trzymają głowice od sikawek przeciwpożarowych. A tu niektóre panie myślały, że przyszli nas rozstrzelać. I zaczęło się. Cele były takie, że na kilkanaście żelaznych łóżek było te 100 osób. Te panie zaczęły nająć włożyć pod te łóżka, pod krzesła, pod stołki. Ja na szczęście, bo siedziałam blisko drzwi z koleżanką i jakąś panią, która opowiadała jakąś powieść i zorientowałyśmy się, że to nie przyszli nas rozstrzelać. Były w efekcie 3 złamane żebra, ręka złamana, guzy na głowie. Śmiałyśmy się z nich.

Poszli i myśmy zaczęły cichutko śpiewać pieśni patriotyczne, Z dymem pożarów, Warszawianki. Właż: przestać! okna otworzyłyśmy, słyszym, że u mężczyzn nam wtórują. Przyszedł naczelnik; wstać wszyscy. Podchodzi kolejno: ty śpiewałaś? Tak. Wy-cha-di-tie. I tak po kolei, do tych młodszych. Podchodzi do mnie: a wy, za co siedzicie? A ja mówię: za to, że chciałam, żeby was cholera wzięła. A coż ja wam zrobiłam? Mnie dali tutaj was, ja nie wiem nic o was. Tłumaczy się. A ja mówię - wy jeden? was wszystkich bolszewików! Wy-cha-di-tie. Zosia to samo, i myśmy obie dostały po 10 dni okropnego karceru. Dość, że jedyny raz potem zakręciło mi się w głowie.

W Sylwestra 44 załadowali nas do tzw. ciepłuszki i wywieźli. To jest taki wagon bydlęcy, przykryty brezentem, a po obu stronach nary, w środku wywiercona dziura, jako toaleta. Na Syberię jechaliśmy do 8 lutego. 7 osób zmarło w czasie transportu. Albo zmarzli, albo z wycieńczenia. Nawet pilnujący nas żołnierze nie mieli co jeść, a co dopiero my. Ich też już żyć nie było, zobaczcie, teren jest zupełnie pusty. Przez Smoleńszczyznę, przez pustkowia, nic nie można było zdobyć.

- W tym czasie Warszawa już była wolna.

- Tak. Jak ktoś umarł, brali go i wyrzucali na te śnieżne pustacie, zima była ostra. Co jakieś 4-5 dni dostawaliśmy chleb, spore bochenki. Jak go było dużo, to dzielili na 4 porcje, jak było mniej, to na osiem, czy na kawałki. Był zmarznięty na kość, to było coś strasznego. Wyrywaliśmy jakieś gwoździe, stukaliśmy, żeby ten chleb jakoś podziabnąć i ugryźć. I woda była w beczce, zimna woda. Łaczęły się biegunki. Ani ja, ani Wanda Truskolaska, mieszkanka Grodna, z którą znalazłam się w tym etapie - teraz żywa i zdrowa w Gdańsku - nie chorowałyśmy.

Wyładowali nas po tym miesiącu i 8 dniach na malutkiej stacji, śnieg po pas, tajga, niektóre panie w pantoflach, ja przynajmniej miałam wysokie, sznurowane buty, robione u szewca, takie do partyzantki potrzebne wojskowe, ale na mrozy syberyjskie, cóż to jest taki but. Czeromucha - Czeremcha, tak się nazywała ta stacyjka. Ani jednego domku, tylko słupek i napis.

To było w KomiASSR. Daleko za Uralem, na północy, choć to jeszcze nie jest Azja.

Wysiadamy, a tam morze światła, jakbyśmy do jakiegoś Paryża przyjechali. A to musieli oświetlać, bo jak ktoś ucieknie... Zresztą, gdzie tam można uciec. Obóz wyglądał tak: kwadrat otoczony drutami kolczastymi, elektrycznością obwiedzione na górze, za drutami plac szerokości paru metrów, zaorany, zagrąbiony



biony, równiutko i dalej drugie druty, też obwiedzione elektrycznością. W czterech rogach strażnice i tam ten strielok. Nie było normalnych baraków, tylko ziemianki. Tylko okienka były równe z ziemią, a reszta wewnątrz. Niby miało być ciepło i dobrze. Wewnątrz po obu stronach rzędy desek na dwóch wysokościach, tak, że spało się piętrowo. Jak w pociągu. Pośrodku duże przejście, potem były nawet jakieś stoły, na razie nie było nic. Stała też wielka beczka metalowa, jak od jakichś smarów, blisko dwumetrowa i gruba, na wierzchu dziura. W to się wkładało polana i paliło. Beczka rozgrzewała się do czerwoności i to dawało ciepło. Ale przyszła wiosna, pewnego dnia budzimy się, nie możemy wyjść, wody jest powyżej kolan. Co robić? ~~Jedne~~ buty... A ubranie to nam dali, z frontu, po żołnierzach, brudne, często zakrwawione waciaki, spodnie i czapki, jak w czasie rewolucji, wysokie z ostrym ~~szpicem~~ <sup>szpicem</sup>, a bokach takie uszanki, z czerwoną gwiazdą. Te gwiazdy były zerwane, zresztą my byśmy też zerwały te gwiazdy. Więc ta woda. Wykombinowały panie, że trzeba takie pieniuszki, a na te pienki wzdłuż deski i po tych deskach chodzić. Ale nie wszyscy tak umieli chodzić, to się ślizgało. Ktoś stanie na deskę, a ta deska mało, że się usunie, to jeszcze w czoło walnie. Wszystko mokre, a do roboty trzeba iść. Tak było parę dni. To podskórna woda, wszystko się roztapiało, a z góry zaczęło też lecieć. Śmiałyśmy się z jednej pani w wagonie, bo zabrała parasolkę ze sobą. Ale teraz bardzo jej się przydała ta parasolka, bo siedziała na pryczy i osłaniała się od góry. Taka elegantka.

Zaraz po przyjeździe komisja : kto na lesopowal, czyli na ścinanie drzew; część dostała reperowanie tych dachów, z takich gontów były te dachy, ileż ja sama zrobiłam gontów, ileż ja

mam zawodów! na przykład umiem gonty robić. Ręce puchły, bo nie można było tego przybić, maleńkie gwoźdźdiki, a to zima, w łapę się tym młotkiem waliło, wszystko spuchnięte, coś straszego, albo nagle siup, zjeżdża się z tego dachu prosto w ten straszny śnieg. Potem część musiała zostać w obozie jako obsługa. Całość nazywała się kołona lesopowalna, czyli obóz drwalski. W obozie parę ziemlanek, mały domek, też ziemlanka, w którym urzędował i mieszkał naczelnik. Potem taki nariadczyk, bo naczelnik był wolnym człowiekiem, a nariadczyk był zsylny, chociaż niby wolny. W czasie wojny musieli wszystkich zdolnych do noszenia broni wysłać na front, więc tych starszych, czy jakichś tam niedołęgów zrobili naczelnikami, ale tych zesłanych zrobili mniejszymi urzędnikami. Potem był księgowy, ile komu dać chleba, wyliczali, co kto zrobił. Bo były normy, normy dla kobiet i dla mężczyzn pikowania drzewa były takie same, 4,5 kubometra. Na dzień. Spuścić te drzewa, rozpiłować, zależy, na 3 metry, na metr, codziennie mierzyli, zapisywali i zależnie od tego dawali jedzenie. Nigdy w życiu nie wyrobiłam tej normy, nigdy, ale ludzie robili. To była bardzo duża norma.

Potem była kuchnia, w której też pracowali więźniowie. Słabsi, niższe kategorie. ~~Rano~~

Jak przyjechałam w 45 roku, to jeszcze był dzień nienormowany, od świtu do nocy praca. I jedzenie dawali po dwa razy dziennie. Rano wyrabiającym normę dawali 500 gramów chleba. Potem dawali 600 gramów. Pół kilo chleba! Teraz to ja kupię pół kilo chleba i mam go i mam, nawet w trzy dni go nie zjem. Ale wtedy - od razu zjadałam, jak dostałam, bo jakbym zostawiła, od razu by ukradli. Wszyscy tak robili. Starsze panie, kalekie, zostawiały sobie trochę na potem. Mnie się zresztą strasznie chciało jeść. I wrzatek do śniadania. A wieczorem, jak przy-

chodziłyśmy, z pracy, to była zupa. Identyczna jak w więzieniu - rybowo-kapuściana albo kaszana. Taka menażka, sporo.

Teraz to by się i trzy osoby najadły, ale wtedy, na mrozie, po tej pracy? dość na tym, że widziałam, jak taki więzień zjadł kiedyś wiadro zupy. Wiadro zupy! taki był wtedy głód.

Potem oni widząc, że jest straszny mróz i ludzie marzną i chorują w tym lesie, zaczęli przywozić tę wieczorną zupę do lasu, o jakiejś 1 - 2. A wieczorem to już był tylko wrzątek. Zimą pracowało się ~~do ósmej~~ <sup>krócej,</sup> bo od jakiejś siódmej się wychodziło, do wpół do drugiej, ale latem od świtu do nocy. Dużo czasu pochłaniało dojście do pracy, najdłuższa trasa wynosiła 7 km. To też sporo trzeba było wlec się., ze dwie godziny.

W 48 roku trochę zmieniły się warunki.

Żołnierze mieli osobny budynek za zoną. Były jeszcze ubikacje. Takie latryny. Położona deska czy dwie, z dziesięć dziur i dach. Dziesięć pań od razu w rząddek siadało.

Wstawaliśmy o piątej, ale już nie było takiego drylu jak w więzieniu. Był czas na mycie, ubranie i tak dalej, na jedzenie. O siódmej już na trasie do lasu. Te ubikacje to było coś straszego. Panie się przeziębially, miały zapalenie pęcherzy, nerek wiatr wyje, mróz 40 stopni.

48 stopni na termometrze uprawniało do tego, że my do pracy nie idziemy, ale jak było 47, to się szło. Nie mam nic odmrożonego, tylko bardzo popękane żyłki na policzkach. Ale były osoby bardzo podmrażane. Wystarczy chwila przerwy, spalaliśmy te gałęzie, rozgrzana twarz, a potem na mróz. Paliło się wszystkie pozostałości z tych pni, te ogromne gałęzie. To były ogniska wielkości domów. Zawsze tak sobie myślałam, Boże, ci Niemcy, to by każdy kawałek drzewa wykorzystali, porąbać, załadować na pociągi i wywieźć. A tu się



wszystko paliło, niech to wszystko idzie z dymem. <sup>+</sup>

Pewnego wiosennego dnia, kiedy tak się topimy, przyjechała komisja z lekarzem, zdolniejszych na jeszcze cięższe roboty wybrać, taka selekcja. Lekarz nie krył się z tym, że w towarzystwie enkawudzisty i naczelnika, mówi: to co, wy, jakiś tam Iwan Pietrowicz, Wenecju zdies u siebie postroili? Tylko jeszcze gondoli wam ~~rk~~ brak! Sprowadzili jakieś pompy, ręczne, i kazali nam wszystkim pompować tę wodę. Ale niedługo już tam byliśmy, bo to też nie zdawało egzaminu, a to błoto, wszyscy by wyginęli. Po miesiącu gdzieś przenieśli nas do innego obozu. Baraki tu były z drzewa. Był też skład naszych rzeczy tutaj, magazyn, domek, gdzie była chleborezka, nocą tam kroili dla nas chleb. Był też budynek souczasti. Wolny albo zesłany lekarz przychodził do obozu i urządował tam. Więzień-lekarz też mógł być, naczelnik nawet wolał takiego i tam mieszkali.

Jak tylko przyjechała jakaś kontrola, naczelnik tych więźniów-lekarzy wywalał stamtąd, bo nie wolno, żeby więzień polityczny mieszkał w lepszych warunkach, on ma zdychać w lesie.

- To znaczy obóz był miejscem powolnego wykańczenia ludzi?

- Pierwszy raz jak mnie aresztowali i przeczytali mi protokół, za co, to ja mówię - ile za to wszystko? On patrzy na mnie jak na idiotkę: za to wszystko to rozstrzał! ale kuli żal, będziecie pracować i zdychać! A za cóż mnie aresztowujecie - pytam - ja się do niczego nie przyznaję, wszystkie te zarzuty, to nieprawda! A on: choćbyście byli najniewinniejsi, to i tak bym aresztował, bo u was mordą kontrrewolucyjną! U was kontrrewolucyjonnaja roża! Wystarczyło.

- A czy ta zsyłka do obozu to była za dawne "grzechy", na podstawie starych papierów, z 41 roku?

- Może, ale raczej ktoś doniósł, szpiegów było dosyć, tych

z czerwonymi kokardkami, byli przecież tacy oddani im ludzie.

Potem przewieźli nas do nowego obozu, pod Archangielskiem. Miejscowości to ani jednej nikt nie powie, tylko były takie nazwy: O1, O2, O3. Tam, gdzie siedzieli kryminaliści, to było bez ~~xx~~ zera: 1, 2, 3, 4, i t.d. Myśmy zresztą byli mieszani, to byłoby za dobrze, gdyby byli sami polityczni. A gdzie to było dokładniej, nikt nie wie.

Z czym się pani kojarzy słowo "koszmar"? Z burzą, z ~~derstwem~~ derstwem, bestialskim jakimś? A mnie tak: kiedyś uczyłam się psychologii, o skojarzeniach; jak powiem słowo koszmar - to widzę obóz. Teraz, jak spotykamy się z koleżankami, pytamy same siebie - jak myśmy to wszystko wytrzymały? A jednak. Człowiek jest jakiś żelazny.

Pod tym Archangielskiem baraki były już trochę przyzwoitsze. Ale - koszmarem było zapluskwienie. Ona padały jak śnieg z sufitu nam na twarze. Nic nie pomagało, nie było żadnego DDT, tylko czasem zlewaliśmy ściany wrzątkiem, ale to prawie nic nie dawało.

Nie było żadnych wolnych od pracy dni, <sup>chyba w 47 roku,</sup> potem wprowadzili co 10 dzień wolny. Więzień musiał pracować bez przerwy. Frzychodził 15 czerwiec, i druga plaga przychodziła. Meszka - ona nie dawał żyć. Weźmie pani, a tu pod powieką siedzi dwadzieścia meszek, jak koraliki. Moja koleżanka, Irena Husarowa z Wołkowyska, może w pięćdziesiątym którymś roku była do nas przewieziona, to nie poznałam jej - była spuchnięta, głowa ogromna, ręce, nogi kompletnie spuchnięte, i strużki krwi płynęły po ciele. Tak zgryziona przez te meszki. Mnie ona na szczęście nie bardzo te meszki lubiły.

- Czy w tych ziemiankach siedziały same Polki?

- Tak, wtedy tam były same Polki. Potem w okolicy Archangielska, było siedem czy osiem baraków, częściowo mężczyźni,

częściowo kobiety. Był wtedy taki więzień, który siedział już z 15 lat, Rosjanin, felczer. Któregoś dnia powiedział nam: dziś przyjedzie etap - albo Polki, albo urki. Myśmy nie wiedziały wtedy, co to znaczy. A to są kryminalistki, ~~na~~ którym na niczym nie zależy. Schowajcie - mówi on - wszystko schowajcie, chleb, ubrania, pochowajcie, p lnujcie przed nimi. Ale co to pomogło - urki najwyżej kazały się rozebrać i oddać. I wtedy za pierwszym razem przyjechały Polki, bardzośmy się ucieszyły, że się spotykamy, ale drugim etapem przyjechały te urki. Nóż taka brała w zęby i pod narami się czołgała, pruka nożem woreczki, ubrania, szukały zdobyczy, a jak ktoś zaprotestował, to i nożem potrafiły dźgnąć. Noża nie wolno niby było mieć, ale one wszystko miały, co chciały. I z tymi bandytkami musiałyśmy siedzieć. Przecież Rosjanom chodziło o to, żeby nas upodlić do ostateczności. Była np. pani Karpowiczowa z córką - to jak oni się dowiedzieli, że to matka z córką, chociaż one się z tym ukrywały - od razu rozdzielili je i wywieźli i już się nigdy nie spotkały. Teraz zresztą nie mam o nich wiadomości. Mąż z żoną też musiał być rozdzielony.

Tam oprócz lesopowalū była jeszcze cegielnia. Bardzo ciężka praca. Robienie tych cegieł, wypalanie ich w piecu, kopanie gliny. Izma, Uchta - znane miejscowości z wyrobu cegieł, i teraz się o nich pisze, o tych ceglach.

Ciągle przerzucali nas z miejsca na miejsce, zmieniłam chyba z 10 obozów w tej okolicy. To było najgorsze - z kimś się człowiek zaprzyjaźni, zbliży - to po to między innymi są te etapy, żeby człowiek miał nowych ludzi kóło siebie, żeby znowu musiał się przyzwyczajać.

Wtedy bardzo się zaprzyjaźniłam z taką panią z Wilna, nazywała się Leokadia Kruk, pseudonim ~~Mama~~ służyła w AK, w domu



była drukarnia, córka jej dostała potem już w owłej Polsce w 48 roku wyrok śmierci, wyszła w 57, wyrok niewykonany. Wyrok można wykonać, kiedy więzień jest w miarę zdrowy, bez temperatury i normalny, żeby zdawał sobie ~~pr~~ sprawę, że dostaje w łeb. Ona udawał wariatkę i zresztą - może i była wariatką trochę? Ile razy brali ją na przesłuchanie, mówiła: ja jestem Wilnianka, jeżeli tylko Wilno będzie nasze, ja wrócę pierwsza. Uważali ją więc za nienormalną. I w 57 roku z mamą się spotkała, ale tego się ~~xi~~ dowiedziałam już wiele lat potem.

Pani Kruk była dniewalną, czyli jakby służącą w baraku - musiała myć podłogę z tego błota i sprzątać, itd. Bardzośmy się zaprzyjaźniły. Ona była dniewalną unaczalstwa, tam, gdzie obliczali, co myśmy wykonały, tam, gdzie byli inżynierowie leśnicy, który wskazywać które drzewa, jak ciąć - u tych wszystkich urzędników. Ona im przynosiła jedzenie, bo oni, naturalnie, byli bardziej niż my zmęczeni. To też byli więźniowie, ale mieli ulgi i obsługę. Oni często nie jedli, bo przez żołnierzy kupowali sobie coś lepszego, jakieś jajko usmażyli, więc oddawali jej wtedy swoje jedzenie. A ona przynosiła je do nas i rozdawała nam.

Ja mówię: pani sama niech je, pani taka chuda! A ona: jedz! ja jestem stara, a ty jesteś młoda, jedz i nic nie mów! Dawała mnie, i takiemu Zbyszkowi i komu tam. Mężczyźni gorzej niż kobiety znosili ten głód, bardzo prędko tracili na wadze i chudli. Doszłam wtedy do wniosku, że mężczyzna jest tak słaby! To, co myśmy mogły wytrzymać, to oni dawno by nie wytrzymali.

Tak nas dożywiała pani Leokadia.

Raptem 48 rok, grudzień, przychodzą, wyczytują, mnie na etap. Dokąd? jak? - nic nie wiadomo. Wywożą mnie do Kazachstanu, na północ Kazachstanu, w województwie Pietropawłowskim.

Jechałam chyba 10 dni. Przed samym Bożym Narodzeniem wykładowa-

li nas na stepie. Step - nic, biało od śniegu i niebo, ani ga-  
łązki po horyzont. To był ~~sewch~~ sowchoz "Stieпноj", taka  
nazwa, Stepowy. Mnie wyładowano i taką panią, która się nazywa-  
ła Zofia Kogzłowska, Sonia, trochę może Polka, gdzieś z Mińszczyz-  
ny. Kazali nam spać w aule kazachskim, u Kazacha w jurcie.  
To są bardzo oryginalne domki - ulepione z gliny zmieszanej  
z owczym giej, czyli kiziakiem. Z tego się robi jakby cegły i ze  
tego lepi dom. Na górze w suficie dziura, na dole palenisko,  
trochę jakieś podwyższone, takie jakby nary, przykryte potwor-  
nie brudnymi i starymi szmatami i tam wszyscy oni w rządęk śpią,  
a w dole stoi krowa, owce i tak dalej, wszystko razem. Myśmy  
obie tam spały. Nie rozumialiśmy ani jednego słowa. Wszy mnie  
tam oblażyły nieprawdopodobnie.

O 3 rano Kazach szarpie mnie za ramię, wstawaj! Każe mi  
iść do olbrzymich obór, tam sto byczków mnie do pasa, każe mi  
je wypędzić, o dwieście metrów dalej takie płytkie jeziorko,  
każe wykopać łomem dziurki w lodzie, żeby one się napiły. Jak  
wrócimy z tymi byczkami, mam sprzątnąć nawóz po nich, jechać  
w step, przywieźć siana. Jak ja o tym pomyślałam...

Wykopałam te dziurki, skaczę po tym lodzie, tańczę, wyście-  
wuję sobie "zielona striełka, czornyj cyferblat", taki rosyjski  
fokstrot, dla rozgrzewki, płaczę, śpiewam, raptem patrzę, a  
ze 200 metrów za mną - rządęk wilków siedzi na lodzie i tylko  
widzę te latarenki oczu, jest może szósta rano, widnawo. Jakoś  
się nawet nie bałam, taka byłam zobojętniała. Nie myślałam,  
żeby mnie zeżarły, one się nic nie ruszały - nie zląkłam się.  
Potem zresztą mówili mi, że wilk atakuje, jak jest głodny, a tak  
to nic nie robi, jest grzeczny, Leci do mnie takie ciele, boi  
się, ja je głszczę, płaczę...

Jeść nic nie dawali, bo jeszcze nic nie zarobiłam - myślę,

co ja mam biedna robić. Poszłam do ichniej kantory urzędowej i mówię: jeżeli nie dostanę dziś czegoko wiek do jedzenia, to uciekam stąd, a przedtem podpale całą waszą kantorę. Dlaczego? my nic nie mamy, ani mąki, ani nic. Jak to - widziałam, jak szłam, Kazaczkę z woreczkiem - szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, co w nim miała - niosła w nim mąkę, mówię, dajcie i nam mąki. Gołe dziecko z tym workiem niosła, goluteńkie dziecko w grudniu. Bo podpale. Przestraszyli się, postawili na noc straże dookoła. Ja ukradłam gdzieś pudełko zapalek, do kieszeni i w południe poszłam, 30 kilometrów, do rejonu. <sup>Amawia</sup>amawiałam tę panią, tę Sonię, ale ona się bała iść. A ja myślę - lepiej niech mnie już te wilki zeżrą. Wzięłam wiecheć słomy, myślę, w razie czego zapalę ognisko od tych wilków, a może nie napadną. Mróz!

Raptem słyszę, sanki jadą. Ukrainiec, zesłaniec dogania mnie - czy ja zwariowałam, dokąd tak idę tak! Ach, mówię, mnie jest wszystko jedno, idę do NKWD do ~~Mariwki~~ Mariwki. To siadaj tutaj. Miał takie rzeczy, takie kołdry, okryłam się i pojechaliśmy. Jechała po swoją żonę do szpitala. Poszłam do rejonu, przenocowałam tam u kogoś - oni są szalenie gościnni swoją drogą. Rano idę do NKWD, proszę mnie wprowadzić do naczelnika. Sekretarka wprowadza mnie, naczelnik ospowaty, Kazach. Jestem taka i taka, przywieziona tutaj 3 czy 4 dni temu, dla mnie to jest za ciężkie, ja nic nie umiem, słowa nie rozumiem, jestem już po 4 latach obozu, nie mam grosza, jeść nie dają. No, naturalnie - mówi, że jak nieznacie kazachskiego, to nie rozumiecie, a co wy umiecie robić? Jestem felczerką - kłamię. A dokumenty? A skąd mogę wiedzieć, przy aresztowaniu dokumenty zabrali, pewnie w Pietropawłowsku, 220 km stąd. To ja tam zadzwonię, dowiem się czy to prawda, przyjdźcie za 2 godzi-



ny. Poszłam na miasto. Dał mi swoje kartki, kupcie sobie chle-  
ba. Nie wzięłam tych kartek, zdechnę, ale kartek od NKWD nie  
wezmę. Rano jadłam kawałek chleba i piłam ziołową herbatę.

- I tak panią wypuścili na miasto, bez straży?

- No, jak tam sami zsylni, a uciekać nie ma dokąd ani jak?  
Na step? Po 2 godzinach przychodzę, pytam sekretarki: dzwonił  
naczelnik? Nie, nie dzwonił. Ja krzyczę: to kiedyś to będzie?  
On usłyszał, kazał wejść i mówi: no tak, dzwoniłem, wszystko  
się zgadza. Obok niego siedzi taka straszna morda. Ja wam teraz  
dam papierek, idźcie do wydziału zdrowia żeby was skierowali  
tam, gdzie nie ma Kazachów, bo wy nie znacie języka. A ta mor-  
da siedzi, rozgląda się: dajcie nam tę dziewczynę, u nas nie  
ma felczera. O właśnie, taki doskonały kołchoz i dom z samana,  
to znaczy ze słomy z gliną, ale już bez tego gie. Tamten poje-  
chał, ja muszę jeszcze pozakałtwić, mam jechać potem z kimś  
z tego kołchozu, spotkam go na targu, wystarczy zapytać. I rze-  
czywiście bardzo szybko znalazłam, takiego 16-letniego chłopacz-  
ka z saniami, przyjechał tu po pocztę, syn poczytkiona. Nikt  
inny nie chciał mnie wziąć ani jechać.

Ja wtedy nie miałam pojęcia, co to znaczy buran. To jest  
zanieć śnieżna, ale jaka zanieć! Zasypuje całe wsie na parę  
metrów, po paru dniach odkopują ich ci z drugiej strony, od  
Odkopują i pytają: Wy żywy? Żywy!  
zawietrznej, nie zasypani. To jest straszliwy wichur, który  
wieje jakoś tak poziomo i zbiera cały śnieg ze stepu i prowa-  
dzi przed sobą. Tutaj może wylizać do gołej ziemi, a tam robi  
ga ogromne sterty. Nikt nie może wtedy nigdzie wychodzić, musi  
siedzieć w domu i czekać aż to przejdzie.

Step w ogóle jest przepiękny, zioła pachnące i trawy powy-  
żej pasa, sarenki można spotkać. Okazało się, że i drzewo tam  
urośnie, w tym kołchozie były nawet karłowe jabłonie, które

dawały jakieś zdziczałe, ale jednak jabłka. To było jedynne miejsce z jabłkami i ogrodami w północnym Kazachstanie.

Nie czekałam na przejście tej burzy, myślę, e, co tam burza. Namówiłam tego chłopaka, żeby jechać, nie zdając sobie sprawy, co to jest. To było coś okropnego, jechałam i całą drogę modliłam się. Jeden koń i sanie, a na nich słoma w worku, żeby nie marznąć. Miałam brezentowe buty na gumowej podeszwie, on też kiepsko choć trochę lepiej ubrany. To było 30 km do tego Gorodiecka, tak się nazywał ten kolchoz. Sasza, mówię, ja będę biegła, a ty popędzaj konia, a potem ja brałam lejce a on biegł, żebyśmy nie zamarзли. W pewnym momencie on mówi, tu już nie pojedziemy, koń nie chce iść, nawet słupy elektryczne zasypane. Nic nie widać. On puścił lejce, niech koń sam idzie, jak chce, może doprowadzi. Koń staje, rży, ogląda się. Nagle on krzyczy: O, dojedziemy, palą! Był taki zwyczaj, że w czasie buranu palili ogromne ogniska na drodze, z siana i słomy od tych zbóż, podpalali stóg. Kierowaliśmy się na ten palący się stóg. i dojechaliśmy. Głaszczemy konia, dojeżdżamy do pierwszego domu. Powitały nas na progu 3 osoby, jego ojciec, kierownik kolchozu i gminy. Zdjęli nas z tych sań, zanieśli na rękach, rzucili nas na piec. Piec ruska to jest dwa metry na dwa, wysoki na półtora, na dole się pali, na górze jest ciepły i tam oni śpią. Rzucili nas na ten piec, przynieśli po szklance musztardówce samogonu, którego jeszcze nigdy w życiu nie piłam, zrobiło mi się gorąco i radośnie i zasnęłam. Na drugi dzień obudziłam się, oni patrzą, czy my przeżyjemy. Przeżyliśmy.

I tak zaczęłam pracę w K kolchozie. Tam byli Niemcy nadwołańscy, miejscowi, taka mniejszość. Jak się wojna zaczęła, Rosjanie i nie ufali i wszystkich ich zesłali. Byli też Ukraińcy, którzy mówili dziwnym językiem, nazywali go chachłacki, oszukani przez Mikołaja II, że dostaną na stepie ile chcą ziemi,

a naprawdę nie tam nie mieli, a traktowani byli jako zesłańcy. Co 10 dni przyjeżdżał z NKWD z Mariwki do biura i wszyscy musieli przyjść z takimi swoimi karteczkami meldować się. Polakami ani jednego. Ja też miałam taką karteczkę. Były kolchozy z Polakami, były, pełno ich tam było, ale tu nie. Znam jedną panią spoza Warszawy, jej syn mówi: mama, ty mi napisz, że ja gdzie indziej urodzony, śmieją się ze mnie, że w Związku Radzieckim, a ona mówi, niech wiedzą, jak bywało.

Przedtem byli tam Polacy, ale po 46, 47 roku zwolnieni, wrócili do kraju. Więc niektórzy umieli parę słów po polsku, jedna dziewczyna śpiewała mi nawet "Rozkwitły pęki białych róż", ślicznie śpiewała, nauczyła się od tych Polaków, co wcześniej tu mieszkali.

W 52 ~~xi~~ roku dostałam książkę "Godzina myśli" Słowackiego. "aczytałam ją na wszystkie strony.

Ja nigdy nie poszłam meldować się do NKWD, niech do mnie przyjdzie, jak potrzebuje, ale nie przyszedł.

Nudziło mi się strasznie, zażądałam książek, dostawałam z partyjnej biblioteki z Mariwki. Przeczytałam Tolstoja, wszystko, co mieli.

Poszłam na kurs marksizmu - niech się dowiem, co oni tam właściwie mówią, co to jest. Poza tym tam harowałam, wstawałam o świcie, przyjmowałam chorych, jechałam w step leczyć tamtejszych ludzi. Nie miałam początkowo pojęcia, przecież ja nawet nigdy nie widziałam porodu! Ale wszystkiego się powoli nauczyłam. Jak koni nie było, to się jechało na wołach! Okropność!

Jakoś tam żyłam, ciągle tęskniąc do języka polskiego, jak w obozie. Na kurs poszłam, bo - mówię - poznałam u was wszystko od najgorszej strony, może teraz od lepszej was poznam. Egzamin zdałam na piątkę. A potem pewnego dnia ten prowadzący mówi: przechodzimy dziś do wojny z polskimi panami,



ciekaw jestem, jak też jak to Irina Kazimirowna - niby ja - opowie o tym. Najpierw sam powiedział, według ich historii. Ja po wysłuchaniu tego już ledwo siedziałam, ~~wstałam~~ wstałam, wyrznęłam całą prawdę, skończyłam na cudzie nad Wisłą, jak to oni uciekali, jak to ich potłukliśmy. Skończyłam i usiadłam. Cisza. On mówi po chwili: no, za to można dostać 25 lat. Nic nie powiedziałam. Poszedł i doniósł o tym.

To był rok 53, 5 marca, dzień śmierci Stalina, zjawia się ten enkawudzista od spisów, co ja nigdy nie chodziłam i mówi: zabierajcie swoje rzeczy, jesteście aresztowana.

Zabrał mnie sankami do Mariwki, do rejonu. Tam był taki mały domek, prymitywne więzienie, stamtąd odwożą dalej. Posiedziałam tam 3 dni, przyjechał duży ~~wózek wózek~~ woron, więzienny samochód i wywieźli mnie te 220 km do więzienia do Pietropawłowska. Osadzona zostałam w celi, pojedynczej, malutka taka cela, sama siedziałam do sierpnia. Wariowałam w tej celi, szorowałam ją od podłogi do sufitu, żeby mieć jakieś zajęcie; taborety i stół, wszystko było przyśrubowane. I tam było śledztwo. W międzyczasie ~~przychodzi~~ tu już był ten Kazach, ten z NKWD, który mnie urządzał parę lat wcześniej w tym kołchozie. Był jakimś takim głównym śledczym, mówi mi tak w pewnej chwili: widzicie, ja was tutaj przyjmowałam, ja wam radziłam i życzyłam wszystkiego dobrego, i trzeba było wam coś takiego powiedzieć i znów iść do więzienia? Tak jakby... nie mogę powiedzieć żałował, ale powiedzmy - współczuję. Że ja taka głupia, trzeba było trzymać język za zębami i nic nie mówić. A oskarżenie moje, jak mi przeczytali, to brzmiało tak: taka i taka, córka, urodzona itd, aresztowana pierwszy raz w 40 roku w maju, z paragrafem takim i siakim, po raz drugi 13 grudnia 44 roku, z paragrafem tym samym, 4 lata siedziała w obozie. Przewieziona na zesłanie do końca życia, ta Irena Kuran została na swoich preżnich pozycjach,

że nic się nie zmieniła. Kiedyś tak opisałam ten proces, nie wiem dlaczego, w trzeciej osobie:

/ Rok 1953/

Po wyroku zostałam przewieziona do Pietropawłowska, bo sam sąd odbył się w kolchozie, gdzie mieszkałam ostatnie lata. Siedzia-  
chyba  
łam/9 miesięcy w pojedynce. Kazachów z zasady nie wsadzali do więzienia, traktowano ich wyjątkowo dobrze. W latach 20 były bunt-  
ty kazachskie i teraz pozwalano im na wszystko, mieli bardzo dużą swobodę. Np. w czasie upałów ludzie męczyli się przy zbiorach, a Kazachy siedzieli po domach i odprawiali Ramadan, który trwa okrągły miesiąc, nic nie robili, tylko pili kumys, ich tzw. ajran. Mieli szalone ulgi. w porównaniu z innymi.

Wyrok był w sierpniu po aresztowaniu w marcu i jeszcze siedzia-  
łam ~~na~~ jakieś 2 miesiące i jesienią wywieziono mnie takim stoły-  
pińskim wagonem do obozu. To były wagony osobowe i do zwykłych  
przedziałów pakowano <sup>po</sup> około 20-30 osób. To był koszmar nieopisa-  
ny. Jak śledzie, bez powietrza, bez wody. Wyjścia na korytarzyk  
były okratowane, a po korytarzu cały czas przechadzali się żoł-  
nierze z karabinami. Ludzie mdleli z gorąca i braku wody. Rano  
dali czasem kubek wody, trzeba było go natychmiast wypić. Dawali  
chleb, a czasem te małe suszone, bardzo słone rybki. Do toalety  
puszczali po jednym, ale nikt nie jadł ani prawie nie pił, więc  
nikt nie potrzebował, najwyżej raz dziennie się chodziło. Chyba  
że ktoś się rozchorował od tych ryb. Makabra.

Jechaliśmy tak 10 dni. Prześadzono nas wtedy do ciepłuszek,  
towarowych wagonów i jechaliśmy drugie 10 dni. Widziałam kilka-  
naście zemdlonych osób, wyniesionych z tych strasznych ciasnych  
wagonów.

Wyładowano nas w Tajszet, to był taki duży zbiorowy obóz.  
Tu było zupełnie inaczej, niż w pierwszych znanych mi obozach.

To było nad Angerą, Brack, Zajarsk. Między nami numery na odzieży, baraki były kratowane i zamykane na noc, w baraku w nocy stała parasza. Jedzenie dawali wtedy już trzy razy dziennie i praca była normowana - 10 godzin dziennie. Tu były osobne obozy dla mężczyzn i kobiet. Prowadzali nas do pracy pod kordonem, z komendantem. Prace były podobne - cedrowa tajga, cegielnia i dla słabszych podpunkty, gdzie były szwalnie, łątały ubrania, robiły buty. Były też takie warzywne. Raz zdarzyło mi się być takim x warzywnym. Musiałam pikować kapustę do inspektorów. Ja kładłam się na plecach i sięgając ręką za siebie, na oślep wsadzałam byle gdzie tę kapustę. Przyszedł żołnierz: a kto tak sadzi kapustę? A ja na to: a co mnie to obchodzi? A on: a dlaczego sadzicie do góry nogami, a nie robicie tak, jakwzyscy pracują? Bo ja - mówię - wrócę jeszcze do kraju, nie chcę mieć biustu sprasowanego na placek, muszę leżeć na wznak. Bo żeby posadzić prawidłowo tę kapustę, trzeba by się położyć na brzuchu w błocie. Ale ta kapusta i tak wyrastała, grunt był doskonały. A koleżanki śmiały się ze mnie, że chcę mieć ładny biust. Tu właśnie po raz pierwszy od 45 roku jadłam kartofle, do tej pory tylko była kasza. To był rok 54. Kasza i rybki, owsianka i rybki, kukurydziana i kapusta i rybki. Że zielone liście z kapusty, siekane w korytacl dużymi tasakami i zaktaszane rybkami. Albo zupa z kapusty i rybek. Rzadko która wyrabiała normę i nikt nie dostawał pełnej normy wyżywienia. Mnie już wtedy mało co obchodziło, czy wyrobię tę normę, czy nie. Więc ja dostawałam 300 g chleba, a norma była <sup>półem 600 g.</sup> 500 albo 550. Nie mogę sobie dziś wyobrazić, że jak była okazja, to mogłam bez mrugnięcia oka naraz zjeść kilkogram/<sup>dziesięć</sup> chleba. To dla nas nic nie znaczyło. Kto wyrabiał dwie normy - choć takich nie widziałam - dostawał kilo dwadzieścia. Ale ci, którzy wypisy-



wali te normy, to byli też więźniowie, i starali się trochę nadrobić ludziom ten urobek, żeby więcej dostali jeść, coś tam podkręcali, i ludzie dostawali 750, 800 gramów chleba. To były różne sposoby. Na przykład myśmy z wczorajszych, gotowych już sągów drewna, oznaczonych węglem, odpiłowywały w pocie czoła te znaki, żeby oni myśleli, że to nowy, dzisiejszy sąg, i tak nikt nie mógł się w tym połapać. Myśmy nie chcieli, żeby oni mieli tyle drewna, żeby im przysparzać tego dobra. Jak się udało. Albo np. podpalaliśmy cały kawał lasu, załadowane już drzewo. Co, co wywzili te drzewa, te dziewczyny, podpalały je na lorach na boczniccy. Wszystko było trudno zrobić, bo nawet o zapalki było bardzo trudno. Te podpalenia były parę razy, to zresztą było bardzo niebezpieczne, mogliśmy się wszyscy spalić razem z tajgą. Widziałam parę razy pożar tajgi, kiedy drzewa palą się od spodu, to jest straszne. Raz nawet konwojenci krzyknęli: ratuj się kto może! i puścili wszystkich wolno.

Klimat nad Angarą jest wybitnie kontynentalny, 3 miesiące bardzo gorącego lata, w końcu ~~lata~~ września spada śnieg, widziałam 52 mrozu, i śnieg leży aż do czerwca. Tu też była norma, że praca jest do 47 stopni. Oczywiście, praca na miejscu wtedy była, jakieś sprzątanie, szorowanie, ale nie wychodziło się do lasu. ani do cegielni. Ludzie odmrażali się bardzo.

Ubrani byliśmy tak: walonki - zamiast jak poprzednio butów, zrobionych z podeszwy z traktora, do której przywiązane były watowane kawałki tkaniny, owiązanej sznurkiem pod kolanem. Walonki były z filce, na grubej podeszwie. Dobrze pracujący dostawali nowe, ja takich nie znałam. Myśmy miały stare. Onuce raz dali, raz nie, ostatecznie urwało się gdzieś kawał szmaty. Potem były watowane spodnie po żołnierzach z frontu. Potem ciekogriek, taki waciak, identycznie jak się teraz nosi. Na nią buszlat, taka jeszcze większa, długa watowana kurta, bo na tamte temperatury jedna to za mało

To wszystko było z czarnego czy z ciemnego drellichu. jakby. Na głowach miałyśmy te czapeczki z rewolucji, z odprutymi gwiazdami, uszanki. Ukrainki więcej miały, jakieś chusty im się udało zabrać z domu. Początkowo śmieszyło mnie, że ludzie chodzili z takimi przepaskami na czole pod czapką, mieli zupełnie białe czoła przy mocno nawet opalonych twarzach - to było z ochrony przed zimnem, bo najgorzej marznie czoło. Dawali nam też takie namordniki, watowane, <sup>to jest szalony ból.</sup> jak maseczki lekarskie, ale to się nie nadawało, bo zamarzało od oddechu i kaleczyło twarz, drapało.

Nadze kurtki wyglądały komicznie, bo były całe popalone od <sup>padających</sup> / iskier z tych ognisk, które w czasie pracy rozpalaliśmy z gałęzi żeby ich trochę usunąć. I z tych dziurek wyglądały kawałki waty, jak piórka białe. Rękawice nam też dawali, watowane, latem też się je nosiło, bo trudno było piłować bez nich tego drzewa. Jak kogoś zwalniali do domu, to musiał to wszystko oddać. Ale nikt nie był zwalniany. Dawali nowe, czy nowsze, jak się zupełnie podarły.

W lecie dostawałyśmy sukienki, z tego samego drellichu, z kieszenią. Polki były eleganckie, od razu doszływały sobie kołnierzyki, zawijały rękawy. W tajdze i tak trzeba było je odwinąć, bo żarła meszka i komary. Wszy w tych latach było już mniej, ale ciągle była plaga pluskw, nie pojmuję, skąd one się brały. Myśleliśmy, że one chyba muszą żyć w tych drzewach.

- Jakie tam były narodowości, jakie spotkała pani Polki?

- Kiedy przywieziono mnie do Tajszetu, ktoś krzyknął: Irka, znów tutaj? Poznałam panią, z którą była w Komi. Tam było kilkadziesiąt Polek, przewiezionych po reformie tutaj. Tu było około 10% kryminalistek, ale recydywistek, albo skazanych z bardzo poważnych paragrafów; kryminalista stawał się wtedy więźniem politycznym, gdy miał kilka zabójstw, albo jakieś międzynarodowe afery na sumieniu, jako niebezpieczny dla państwa. Wtedy trafiał do specłagru.

W 54 roku, pod koniec, gdy już był zdegradowany Stalin, zaczęło się coś, co my w Polsce nazywamy odwilżą. Pewnego dnia kazali nam wyjąć kraty z okien, myśmy zresztą nie chciały tego zrobić. Ale oni sami to zrobili, kiedy byliśmy w pracy. Baraków już nie zamykano na noc. Pewnego dnia kazano nam zdjąć numery. Też sami je nam zdarli. Były do 10 dni dni wolne od pracy, gdzie indziej nawet co tydzień. To było takie niby polepszenie. Wszyscy byli aresztowani za Stalina, i wszystko to działo się nie tylko z powodu interwencji krajów zachodnich, ale przede wszystkim z powodu lekceważenia Stalina po jego śmierci.

Były osoby, które już zwalniano, kończyły się krótsze wyroki. Ale nie do Polski, tylko na zesłanie. W 55 roku zaczęły słuchy chodzić, że będą zwalniać Polki. Niemki już wtedy wyjechały, w 54 roku. Dostały nowe buszłaty i tak dalej i pojechały. Dla nas to był straszny dzień, dla mnie chyba jedyny dzień zakłamania. Pomyślałyśmy wtedy : nigdy chyba stąd nie wyjdziemy. Z Niemkami czasem przyjaźniłyśmy się, choć sama pobijałam kiedyś jedną, Marię, z którą bardzo <sup>byłam zż yta,</sup> ~~się przyjaźniłam~~, spała obok mnie, bo zaczęła wyśpiewywać, że teraz jest grudzień, ale przyjdzie maj, przyjdzie Adolf Hitler i będziemy frei. Wtedy walnęłam ją. Rozmawiałyśmy z nimi po rosyjsku, trochę po niemiecku. Były też Czeszki, była Polka z Chin, były Francuzki i to chyba wszystko, Ukrainki, Białorusinki, innych nie było u nas.

Spotkałam wiele pań z K<sub>o</sub>mi czy spod Archangielska. Z jednej strony to było miłe, z drugiej ogarniała nas rozpacz, że wciąż siedzą. Była Janina Wysoczańska, wyszła za mąż na zesłaniu za więźnia, Klawinsza, Łotysza, żyją, są zdrowi, we Wrocławiu. Terenia Skalska jest w Toruniu. ~~z~~ Izabela Stankowska, ps. Marianka z partyzantki. Stefania, pseudonim obozowy Zofia Lachowicz. Cichocka Eleonora w obozie jako Krysia Kowalska. Wila Giedrys.



Nazwisko po mężu. Krysia Lambert, mieszka w Gorzowie, Wieńczak obecnie. Lucynka Krupa, w Siemianowicach Śląskich. Benia Cieremiej, umarła 2 lata temu. To była kobieta spod Grodna, ze wsi. Niemcy pacyfikowali tam całą wieś; zwołali wszystkich do zgminy i wyczytywali rodzinami i rozstrzelali wszystkich, a tu mężczyźni już kopali doły i do tego dołu. Rozstrzelano około 45 osób. Kiedy pozostało około 7 osób, między innymi ona, modlili się cały czas głośno, zstawiali modlitwę za umarłych, za siebie. I nagle Niemcy wyszli: a teraz reszta won do domu! I ocaleli, nie wiadomo dlaczego, może mieli kontyngent 40 osób. Jak przyszli bolszewicy, zaraz ją aresztowali. Ona mówiła na śledztwie: Niemcy mnie nie rozstrzelali, a wy co ode mnie chcecie? Dostała wyrok, spotkałam ją w obozie. Była bardzo wysoka, masywna, potrzebowała dwa razy zjeść tyle co ja, nogi miała całe w strasznych wrzodach, lejącej się ropie. Ślady po tych ranach zostały jej na zawsze. Miała szalone trudności z chodzeniem. Wyszła potem za męża za mieszkańca swojej wsi, który z kolei dostał 25 lat katorgi i kopał miękę. Oboje wyszli w 56 roku, spotkali się, przyjechali do Polski, zamieszkali koło Malborka. Byłam na jej pogrzebie. Bardzo byłam zaprzyjaźniona z panią Grażyną Lipińską, walczyła w obronie Grodna w 39 roku. Kiedy bolszewicy zaczęli wędrówkę w 17 września, ona była jedną z tych, które zorganizowały obronę Grodna. Grodno broniło się 3 i pół dnia, choć mężczyźni byli już zmobilizowani i były tylko <sup>starsi ludzie</sup> kobiety i uczniowie. Potem okazało się, że Rosjanie - a leżą w Londynie oryginalne dokumenty na ten temat - napisali taki raport: do Stalina: po trzydniowych upartych, ciężkich bojach z przeważającą siłą żołnierzy polskich, zajęliśmy Grodno. Śmiać się chce. Opowiadała, że czołg sowiecki jechał ulicą, do czołgu był przywiązany jedenastoletni chłopiec. Widząc to, pani Lipińska rzuciła się na ten czołg, też żołnierz prowadzący zgłupiał i zatrzymał. Ona odwiąza-

ła tego chłopca, była już jego matka, zanieśli go do szpitala, ale umarł po dwóch godzinach, serce nie wytrzymało/ <sup>u tego</sup> dziecka.

Spotkałam się także z Anielą Dziewulską, śliczną, szczupłą, młodą dziewczyną, jej ojciec był profesorem, a potem rektorem Uniwersytetu Wileńskiego, w 45 roku rektorem Uniwersytetu w Toruniu. Słaba i wątła, umarła po jakimś czasie. Miała tzw. lżejszą pracę, robiła trumny, stolarską robotę. Potem Basia Dumnicka. Wszystkie panie były z AK, wszystkie.

- Czy siedziała pani do końca już w tajszecie?

- Nie, z Tajszetu przenieśli mnie do Bracka, z Bracka do Zajarska do różnych innych numerowych obozów, zmieniałam z pięć punktów. Przenosili, bo gdzieś za dużo ludzi umarło, czy wymyślili jakąś pracę. Musieliśmy się wtedy rozstawać z zaprzyjaźnionymi osobami. Jeżeli chodzi o Polki, nikt i nic nie mogło odstraszyć Polek od codziennych modłów, od wymodlenia sobie wolności. Gdzieś, za jakimś barakiem, zasłonięte od wiatrów i budki strażnika zbierałyśmy się codziennie bez względu na pogodę i zmęczenie. W obozie była jakaś niby weranda, pozostałość po Chińczykach, którzy byli przed nami w tym miejscu. Weranda miała jedną ściankę zakrytą i daszek. Tam zbierałyśmy się zwykle po kolacji. Zimą zmrok zapadał bardzo wcześnie, ale oboz był bardzo jasno oświetlony. Przychodziły po pracy dziewczyny, zajmujące się piłowaniem i zwózką drzewa - spierzchnięte twarze, wychłostane wiatrem, mróz 47 stopni, opuchnięte usta z kropelkami krwi. Modlitwę zaczynała pani Grażyna Lipińska. Powtarzałyśmy za nią wszystkie zwrócone twarzami na Zachód - tam, gdzie była Polska. Po modlitwie śpiewałyśmy zwykle jakąś patriotyczną pieśń. Ktoś intonował: "Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej..." Kto próbował śpiewać bardzo zmęczony i zziębnięty, ten wie, jak trudno wydobyć głos z krtani. Kiedy cicho zawodząc doszłyśmy kiedyś do słów: "skarga to straszna, jęk to ostatni", usłyszałyśmy czyjś szloch. To płakała młoda dziewczyna - izwó-

szczyk. Żadna z tych młodych dziewcząt nie mogła wydobyć normalnie głosu o pieśń była rzeczywiście jękiem ostatnim. Słyszę jeszcze dziś te nędzne, głodne głosy, zamierające w pół słowa, ochrypłe, ginące w mroźnym sybirskim wieczorze. Przez długi czas, aż do wiosny, nie śpiewaliśmy już, ale chórem mówiliśmy pieśń:

"Słuchaj Jezu, jak Cię błaga lud,  
Słuchaj, słuchaj, uczyn z nami cud,  
Przemień, o Jezu, ~~ten~~ smutny/czas,  
O Jezu, pociesz nas!..."

Basia Dumnicka dostała kiedyś gruźlicy i umarła już w Polsce w roku 59 czy 60. Zdrodowska Wanda, też dostała gruźlicy, djabł klimat nie sprzyjał gruźlicy, suchy, gorący, ale wyniszczenie organizmu sprzyjało chorobom. Odwiedzała mnie w sanatorium w Zakopanem w 57 roku, po powrocie, jest, żyje, mieszka niedaleko mnie, widzujemy się stale. Miała zrobioną terakoplastykę, uciśnięcie płuc. Lodzia Bogucka - poznałam ją dopiero w Polsce, ale miałam jej adres i namawiałam ją do powrotu do Polski spod Grodna, gdzie wyłaflowała po zwolnieniu. Wróciła. Wanda Truskolaska. Udało jej się wyjść po dwuletnim więzieniu. Zwolniono też moją przyjaciółkę Irenę Kozłowską, u której mnie aresztowano.

nie pamiętam tych wszystkich nazwisk, tych Polek było tak strasznie dużo!

- Czy pilnowali was Rosjanie czy jacyś miejscowi?

- Tam nie ma miejscowych, to są tereny w ogóle niezamieszkałe, jeżeli się zobaczy dymek w oddali, to na pewno koszary strażników. Byli ludzie zwolnieni i odbywali okres zesłania jako pracownicy w obozach. Nawet naczelnika spotkałam byłego więźnia, tacy zresztą byli najlepsi, bo rozumieli, jak to jest, najgorsi to byli przysłani NKWD, musieli tam być i nie znosili tego, byli wściełki.

Nie słyszałam tam o żadnych wsiach czy ludzkich osadach. Ktoś



Obóz był bardzo jasno oświetlony. Kiedyś, wracając, spotkałam na jakiejś stacji młodego lekarza, który miał po studiach nakaz pracy do obozów. Powiedział, że straszili go, że tam nic nie będzie, jakieś tajgi, a on przez okno z pociągu widzi ogromne miasta, jasno oświetlone. Ja mówię: pan się przekona, co to za miasta, to są obozy.

Minął rok,<sup>jest</sup> początek 55 roku. Przez dostawców produktów zaczęły docierać do nas wieści, że zwalniają politycznych do domów. Że w innych obozach zwolniono już całe masy. Przez te wszystkie lata pocieszałyśmy się wzajemnie, że słyszałyśmy gdzieś od strażników, że niedługo będą zwolnienia. Pocieszałam szczególnie takie diwe Żydówki, panie Ziegler. Trzeba było podtrzymywać kłamstwami na duchu. Nikt nie demonstrował swojej rozpaczki ani nieszczęścia, ani przebiegu śledztwa, ani nie płakało się publicznie za rodziną czy ojczyzną. Myśmy z panią Grażyną wierzyły cały czas, że wrócimy, tylko wtedy raz się załamamy.

Zacząły dochodzić listy, z zyski od naszych znajomych. Pisało się do nieznanych chłopców w innych obozach, serdecznie, jak do sympatii i listy te były przewożone przez więźniów, którzy mieli przepustki i kontakty z innymi obozami. Do Janka z obozu X, do Franka z obozu Y, aby podtrzymać młodych ludzi na duchu. I w tych prawdziwych już listach, z zesłania, były wieści, że jednak mają zwalniać. Pewnego dnia przyjechała taka trojka z prokuratury generalnej z Moskwy, podobno w skład tych trojek wchodził zwolnieni profesorowie, ludzie wykształceni, zwolnieni już Polacy, dopierali ich do siebie. Pracowałam wtedy w takim małym szpitaliku w obozie. Wyprowadzono za zonę pierwszych kilkanaście osób na sąd. Drżałyśmy wszystkie z niecierpliwości! Wszystkie wolne! Skakałyśmy z radości i czekałyśmy na swoją kolejkę. Któregoś dnia przyszedł do mnie jeden z sędziów, któremu coś wpadło do oka.

Tak mu ulżyło, kiedy usunęłam mu z oka obce ciało, że spytał mnie, czy już byłam sądzona. Obiecał odnaleźć moje akta i przyspieszyć sprawę. Całą noc nie spałam. Leżąc w otwartymi oczami, przez okno wychodzące na tajgę - widziałam Polskę. Zdawało mi się, że to las "amkowy pod Wołkowyskiem, widziałam olbrzymi kamień przy drodze w tym lesie, dokąd urządzaliśmy wyprawy wiosną. Czulałam zapach kwitnących bzów i jaśminów, których pełno było przy każdym domu w Wołkowysku. To znów słyszałam dzwony jakby w kościele św. Anny w Wilnie, dokąd biegałam na mszę.

Dzwony okazały się dzwonkiem na "podjom", czyli pobudkę, i musiałam wracać do rzeczywistości.

Po południu przyszedł śędzia na opatrunek: "wasze papiery są w Moskwie, przypuszczalnie tam będą rozpatrywane". Po dwóch tygodniach zostało nas w obozie 13 Polek i kryminalistki.

We mnie coś zaczęło twardnieć. Na moich oczach wyjechały wszystkie pozostałe Polki. Została pani Lipińska, ja i "elenka Rodziewiczowa, która zaprosiła mnie pod Wilno, do swojego zaścianka jak będę już zwolniona, razem 13 i kryminalistki.

Chodziłyśmy do pracy, było lato, ale rozluźnienie było szalone. Dostawałyśmy o wiele więcej jeść, bo tyle osób wyjechało, zostały ich przydziły. Był nadmiar. Przestałyśmy być bez przerwy głodne jedzenie było takie samo, ale można było jeść do woli, bardzo nam to smakowało. Straż i żołnierze stracili rezon, nie wiedzieli, kto w końcu jest zwolniony i czeka na wyjazd, na uprawomocnienie wyroku, a kto ma pracować. Kiedyś na przykład nie poszłam do pracy, tylko idę do wachty: otkrywaj! I wyszłam sobie na spacer do lasu, do takgi, innymi oczami mogłam popatrzeć na to wszystko, nie czułam się już taka zamknięta.

26 lipca przyszli, wyczytują nas 13, na sąd do Kiemierowa. 100 km od nas. Tam się odbył sąd.

Już nie pamiętam, czy cieszyliśmy się. Wydaje mi się, że przesta-  
łyśmy wierzyć, że marzenia mogą się spełnić. Byłyśmy jak jeże  
nasrożywszy kolce i jak żółwie w grubej skorupie. Dzień był sy-  
beryjski, upalny. Siedziałyśmy, wyładowane z ciężarówki, w mil-  
czeniu. Czy dla nas słońce świeci?

Poszłam pierwsza, nie wiem, co to był za dom, nie przeczytałam  
żadnych tablic na nim. Weszłam do dużej sali, pośrodku której  
stał długi stół. <sup>od</sup>Utrzymałam się, idąc prosto ~~do~~ drzwi, przy  
krótszym boku prostokąta stołu, i tak już zostałam. Przy przeciw-  
ległym boku siedziało trzech umundurowanych oficerów z Wierchow-  
nego Sowietu. Nie miałam zwyczaju pozdrawiania ich, więc stanę-  
łam w milczeniu.

- Familia?

- Irena Kuran,

- Rok urodzenia?

† 1 grudnia 1915.

- Miejsce?

- Warszawa.

- Narodowość?

- Polka.

- Paragraf?

- Moje akta macie przecież przed sobą.

- Wyrok?

- Też w aktach.

- Ile siedzicie?

- Trzynaście lat,

- Czy uważacie, że to dostatecznie?

Pomyślałam: co za głupie pytanie, odpowiedziałam:

- Uważam, że w ogóle nie powinnam siedzieć w więzieniu i w obozo-  
zach.



Coś szeptali między sobą. W tym momencie nie myślałam o niczym. Po jakimś czasie cała trójka nałożyła czapki na głowę, wstała i przewodniczący powiedział:

- Uważając, że taka to i taka odsiedziała 12 lat, co jest wystarczające, wobec czego sąd zwalnia ją z odsiadki dalszego wyroku, to jest 7 lat.

Stali patrząc na mnie.

- Można już wyjść? - zapytałam.

- Da.

Odwrociłam się i wyszłam z sali. Na podwórku rzuciły się na mnie towarzyszki: co, jak, jesteś wolna? Jak ci powiedzieli? A ja na to: Spytałam, czy mogę odejść, przecież nie mogę powiedzieć im "do widzenia", bo wcale nie chcę wracać ani ich oglądać, a dziękować też nie miałam za co.

Szczyście to coś bardzo dziwnego.

Kiedy wreszcie po tylu latach byłam naprawdę szczęśliwa, kończyła się moja smutna i krutna młodość, byłam wolna, a cóż może być /piękniejszego niż wolność - ja, tak zawsze żywo reagująca na wszystko - nie umiałam się cieszyć.

Po osądzeniu w tym Tiemierowie, wracałyśmy do obozu. Ale pani Grażyna i jeszcze druga pani nie były sądzone ani zwolnione. Co prawda pani Grażyna w końcu prędzej niż ja znalazła się w Polsce, bo w końcu któregoś dnia wyczytali je na placu obozowym i zwolnili od razu, bez sądu.

Wracałyśmy do obozu. Kierowca i konwojent byli tak pijani, że ciężarówka wywalila się do rowu i podwiózł nas <sup>samochód</sup> przygodny ~~trak-~~ ~~tor~~ Przy okazji odebrałyśmy kierowcy broń, ale oddałyśmy ją temu nowemu kierowcy. Sprowadziłyśmy też traktor, żeby wyciągnął przewróconą ciężarówkę. Kierowcy ani konwojenta więcej nie widziałyśmy, pewnie wsadzili ich do takiego samego łagra.

Obóz prawie opustoszał, już nie bywałam głodne, chodziłyśmy na spacer do tajgi. Tak minęło dwadzieścia parę dni, wyrok się uprawomocnił, wzywają mnie do kancelarii za obozem, za drutami, mam być zwolniona. Pożegnałam się ze wszystkimi, miałam po powrocie miałam dać znać do willi Złote Serce w Zakopanem, gdzie mieszkała matka pani Lipińskiej, Anna Sokołowska.

Przychodzę do kancelarii, za stołem siedzi enkawudowiec i mówi: Proszę, dostaniecie jedzenie na drogę. jedźcie do Kazachstanu, na miejsce swojej zsyłki. "Bo to przecież było wieczyste zesłanie! Powiedziałam: do żadnego Kazachstanu nie jadę! Zsyłka nie jest anulowana!"

Wyszłam, usiadłam na progu, ja się nie ruszę. "To co, będziecie tu tak siedzieć w obozie?" "Nie, w obozie nie będę siedzieć, bo jestem zwolniona, ale do żadnego Kazachstanu nie jadę!" "To won!" Zebrałam swój węzełek, idę do obozu, wracam. Panie osłupiały, co się stało, wyjaśniłam. To trwało trzy dni. Trzeciego dnia przychodzę, on miał chyba dosyć, siedzi: no to coż ja mam z wami działać? Ja mówię: dzwoń po selektora! Selektor to był taki bezpośredni telefon do NKWD w Moskwie. I powiedz, że tu jest zwolniona Polka, która nie chce jechać do Kazachstanu. Ten dureń dzwoni! Czy to do pomyślenia?! On się melduje, podaje moje nazwiisko, paragraf. Siedzę blisko, słyszę, co mówią. Pytają: a gdzie ona chce jechać? Myślę sobie - lepiej nie podawać Polski, mówię: do Wilna. Pod Wilnem ma w razie czego tych Rodziewiczów. A Moskwa odpowiada: z takiego paragrafem to ona nie ma prawa do końca życia mieszkać w żadnym mieście powiatowym ani powiatowym! Przypomniałam sobie jakąś stację podwileńską, Bastuły, to jest dieriewnia, mówię, a to jest 5 km od tego zaścianka Rodziewiczów. Czekam, tam milczenie, ja widzę, nagle on pot z czoła ociera i mówi: puskajut.

Dostałam kawałek chleba, słoną rybę suszoną na drogę i bilet

darmowy. Proszę o bilet do Moskwy, bo ja wpierw jadę do Moskwy, do polskiego konsulatu. Przez 5 lat pisałam ciągle do konsulatu z prośbą o potwierdzenie mojego polskiego obywatelstwa, bo przecież narzucili mi białoruskie. Listy w ogóle wolno było pisać tylko albo o ukaskawienie, albo raz na rok pozdrowienia do kogoś na terenie Związku Radzieckiego. Nigdy nie dostałam żadnej odpowiedzi. Nie ukaskawiali nikogo, konsul też nie odpowiadał.

- Jak wyglądała teraz podróż przez Rosję?

- Wsiadłam do pociągu z zaświadczeniem o zwolnieniu, mam je do dziś, taka sprawka, jak mówią. Pieniądzy żadnych nie miałam. Przyzwyczajona byłam do głodu. Jechały całe masy, tłum okropny. Na stacjach, gdzie czekałam, tłumy leżały na ziemi, wreszcie wepchnęłam się do pociągu. Jechałam tydzień do Moskwy, na twardych ławkach w przedziale 4 klasy. Inni dzielili się jedzeniem, to przecież wszystko byli zwolnieni więźniowie.

W Moskwie wylądowałam na dworcu Białoruskim, metro miałam za darmo na podstawie mojej sprawy i poszłam prościutko o 6 rano do konsulatu polskiego, ulica Tolstoja.2, i teraz tam bym trafiła.

Miałam jeden adres w Moskwie, u Polki, ale się mnie potem przestraszyli, jak przyszłam!

Więc siedzę na schodach, o ósmej otwierają, weszłam. Powiedziałam sekretarce, że chcę się widzieć z naszym konsulem. Pokazałam jej papiery z obozu i czekam. "Pan konsul jest dziś bardzo zajęty". To ja poczekam, aż mnie przyjmie. I siadam w poczekalni, a tam nudno, leży prasa. Ogoniok, Prawda, Krakadł, - polskiej prasy ani śladu. Pytam: a nie ma tu żadnej lektury polskiej? Nie. Antypatyczna była ta sekretarka. Odrzuciłam to, tego to ja już mam dość. Dosiedziałam do dwunastej, wyszła, wraca - pan konsul prosi. Weszłam, mówię: jestem stąd i stąd, chcę jechać do Polski,



proszę potwierdzić moje obywatelstwo. I zapytać się chcę - dlaczego przez tyle lat nie dostałam nigdy odpowiedzi na moje listy. On się kręci, wyjmuję wreszcie z szafy moją teczkę, wyjmuję te wszystkie moje listy."Tak, tutaj są - teraz niech obywatelka zrozumie, że dopóki obywatelka była w rozporządzeniu NKWD, ry może powiedział MWD, to myśmy nic nie mogli, a terazo ja mogę wszystko zrobić."Wypisał mi duży papier, Nic absolutnie od nich nie dostałam, więc dalej jestem bez grosza.

Poszłam na ulicę Balszaja Wronnaja, tam mieszkała moja znajoma Polka, Irena Myszkiniś, w starej Moskwie. Jej rodzice już tam od lat mieszkali. Namówiłam ją, żebyśmy poszli do teatru. Poszłam, jak stałam, w tej obozowej, przerobionej sukience, pamiętam, zieloną miałam, ciepło było jeszcze, bez okrycia, bo to był koniec sierpnia. Idziemy na Carmen. Nikt na mnie niepatrzył, wiele osób było tak ubranych.

Na drugi dzień wyjeżdżam do Wilna. Idę do Ostrej Bramy, na dwie msze pod rząd, kupiłam sobie Matkę Boską Ostrobramską, mam ten obrazek, 6 sierpnia 1956 roku, ksiądz mi poświęcił, przeszłam się ulicami, do mojej uczelni, do parku, tzw. cielętnika, do mieszkania, gdzie kiedyś mieszkałam. Zaczęłam płakać. Podchodzi do mnie stara Litwinka, co mi jest? Powiedziałam: ja płaczę ze szczęścia, ja tutaj byłam w 39 roku. Popatrzyła na ten mój cudny strój, domyśliła się.

Pojechałam do Rodziewiczów. Oni zastanawiają się, czy wracać do Polski. Pojechałam do Grodna składać papiery, wiza itd. Czekać. Codziennie chodzę do Woronowa, 7 km od nas, pytać, ale papierów wciąż nie ma. Znowu jadę do Grodna, nie ma odpowiedzi. Przede mną stoi Węgierka, mówią jej: nie, nie pojedziesz, to już było powstanie węgierskie. Mnie mówią: już jest zwzwolenie, tylko naczełnik musi podpisać, ale wyjechał. To ja do niego pojedę! Nie!

I tak dzień w dzień chodzę do tego Woronowa. Wieczory ciemne, ale śnieg już leży, księżyc oświetla. Milicjanci tam znali mnie już jak zły szeląg. Wreszcie: jest! Jost - po białorusku.

Mogę jeszcze się zdecydować do końca roku, mówią mi, może ja jeszcze tu zostanę, po co mam jechać, przecież tu mogę dostać posadę sklepowej, akurat się zwolniła, a cóż to w Polsce, tak samo jak tu. A ja mówię: A kiedy jest najbliższy pociąg do Warszawy? Jutro rano o ósmej. To ja jutro rano o ósmej jadę.

Powroty są różne.

Wieczór był jasny, księżyc śmiał się do mnie, kurczowo trzymałam w ręku wizę, rękę schowałam przed zimnem pod waciak. Wracam do zaścianka, co kilkanaście kroków stoję, wyciągam pozwolenie wyjazdu, rozkładam i przy księżycu czytam: i czytam bez końca: Irena Kuran zezwala się na wyjazd do Polski... itd. Całuję tę kartę, chcę powiedzieć ludziom, którzy będą się cieszyć wraz ze mną. Jadę, jadę, wracam po trzynastu latach!

Wizę kładę na noc pod poduszkę, co chwila jej dotykam. W nocy śpię spokojnym, wesołym snem, Nie martwię się, że nie zobaczę już Syberii. Po raz pierwszy ujarzałam ją, wrzeszczącą mroźem, w lutym 1945 roku. Po raz ostatni widziałam ją z innego pociągu, umykającą coraz dalej ode mnie, tym razem ziejącą sierpniowym skwarem.

Wjechałam na Zachód - a pośrodku rozciągały się te wszystkie lata. Gospodarz odwiózł mnie do oddalonej o 4 km stacji furmanką. Znam tę drogę na pamięć, całą jesień chodziłam tędy po chleb dla całej rodziny, przywożony przez znajomego kolejarza z Wilna.

Serdeczne pożegnanie, usiadłam w wagonie, byle prędzej pociąg już ruszył! - ho Wileńszczyzna zawsze pozostanie moim krajem -

Opuszczam jeden mój Kraj, /tak wzruszająco malowniczy z jego smutną ciszą i szerokim spokojem, z rzeką przewijającą się przez ulice miasta jak piękna, smutna pieśń... Żegnam dumne wieże 36 koś-

ciółów, gdzie króluje Matka Boska Ostrobramska. Do zobaczenia!

I znów myślę o tajdze, o ludziach rzuconych tam, gdzie na pewno nie chcą, o domu, o dzieciństwie...

Granica. Żegnam ziemię, gdzie spędziłam najwspanialsze lata. I jeżeli chciałabym czasem żyć 120 lat, to dlatego, że jedno życie mi nie wystarcza, żeby nacieszyć się jego urokami. Przysięgam, że nigdy tu nie wrócę, dopóki ta ziemia nie będzie nam zwrócona. Chyba że pod konwojem.

Do wagonu wszedł polski żołnierz, zasalutował.

-Witam państwa na polskiej ziemi - mówi.

- A tamta to czyja? - wyrywa mi się okrzyk.

Żołnierz wyszedł milcząc. Zbliżamy się do Warszawy. Przez okna wagonu wyczuwam znajomy zapach tego miasta, kiedyś biegałam po tych ulicach, gdzie są te wszystkie lata?

Powróciłam do mojej Warszawy.



Jak wyglądała praca kobiet w Tajszezie.

Szczególnie dla kobiet przeznaczoną pracą było tzw. szczypanie śludy, czyli rozszczepianie miki na płytki. Mikę kopie się w kopalni w bryłach, takich jak bryły węgla a potem tnie ją na kawałki. Potem rozszczepiało się ją na drobne płytki. W nieogrzewanej sali stały rzędy małych, 4-osobowych stolików z grubego szkła. Każda z kobiet dostawała plaster tej miki i stalowy nóż i podważała ~~xi~~ płatki tej miki, potem sortowało się ją na gatunki. Pracowało się systemem zmianowym, po 10 dni 10 godzin dziennie i przez 10 nocy po 10 godzin. Dzienna norma rozszczepionej miki wynosiła 60 dkg, a mika jest lekka jak puch. To fru-nęło przy ~~naj~~lżejszym ruchu, nawet jeżeli ktoś przechodził obok stolika. W dodatku mika jest szkodliwa i słyszałyśmy, że z tego powodu w innych obozach dawano po kubeczkę mleka dziennie, u nas nie. Jeżeli nie wyrobiło się normy, odbierano część chleba.

Tego mógł zazdrościć tylko ktoś, kto tego nie robił. To była koszmarne praca i jej jedyną zaletą było to, że się nie było bezpośrednio na mrozie no i na siedząco. Niegdy nie zdołałam wyrobić normy. Wyrabiała ją, owszem, niektóre - Ukrainki od Bandery, jedna Czeszka robiła kilogram dziennie. Przy tej micy pracowały też inteligentki rosyjskie, stare kobiety, tzw. niedoriezki z 1937 roku.

Podczas pracy w ambulatorium pierwszego dnia jadłam surowe mięso, bo nie miałam nic. Potem stołowałam się u rodziców chłopca, który moim zdaniem sam się wyleczył, ale oni byli mi wdzięczni. Oddawałam im całą moją pensję, 500 rubli, bo mnie pieniądze nie były w ogóle potrzebne. Chwalono moją pracę, ale w pewnym momencie zażądano wreszcie moich papierów uprawniających. Ponieważ nie mogłam ich dostarczyć, obniżono mi pensję do 350 rubli, ku wielkiemu żalowi tej rodziny, u której jadałam.

Przez te lata, kiedy byłam w Kazachstanie, w sklepie nie było nic do kupienia. Raz jeden przywieziono jakiś materiał ubraniowy. Poza tym Rosjanie kiedyś kazali za całą 1 pensję wykupić obciążenia państwowe.

Irena Kuran

Str 31

~~ROK 1953~~

Oskarżenie brzmiało:

"Irena Kuran, córka Kazimierza, urodzona 1 grudnia 1915 roku w Warszawie, aresztowana po raz pierwszy w maju 1940 roku z paragrafu 58 punkt 1b, wyroku nie odsiedziała; po raz drugi aresztowana 13 grudnia 1944 roku i zesłana do lagrów w Komi ASSR ziemi archangielskiej, stamtąd w grudniu 1948 roku zesłana na dożywotnią zsyłkę do Północnego Kazachstanu; ona - ta-że Irena Kuran-Kuranówna zesłana na "perewospitanije" pozostała do dnia dzisiejszego na swoich "preźnich pozycjach". Nie mogąc walczyć z bronią w rękę zajmowała się przez cztery i pół roku kontrrewolucyjną działalnością, agitacją wśród ludności i komunistów."

Wśród stepów Kazachstanu, w osadzie Gorodzieck, a jednocześnie kołchozie, do budynku gminy, prowadzono z więziennego samochodu oskarżoną.

Otoczona dziesięcioma żołnierzami MWD, z nastawionymi na karabiny bagnetami, szła drobna, blada kobieta około trzydziestukilku lat. Ubrana bardzo skromnie niosła węzełek, widocznie z całym swoim majątkiem, może zmianą bielizny, może chlebem, który dostała na drogę w pietropawłowskim więzieniu.

Na pierwszy rzut oka widać było bunt i hardość na twarzy podsądnej. Opadające na ramiona w nieładzie pokrecone rude włosy hardo potrząsając głową odrzucała w tył. Szła z podniesioną głową, rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Lecz oczy jej na chwilę złagodniały. Szła bowiem nie tylko otoczona kordonem żołnierzy, lecz wśród tłuma kobiet, ludzi, z którymi była, których leczyła przez prawie pięć lat, ludzi, których przywiodła dzisiaj na proces pokazowy nie ciekawość - lecz serce.

Każda z kobiet trzymała w ręku bądź kawałek chleba bądź butelkę mleka, kawałek sera dla oskarżonej. Ale, kiedy próbowały podejść bliżej i podać węzełek, zostały odpędzone: "Nie lzia!"

"Kochane, odejdźcie, nie pozwolą mi nic wziąć od was," - zwróciła się do kołchoznych kobiet oskarżona, - "dziękuję wam za serce." Dalej nie mogła mówić, bo najbliższej idący żołnierz trącił ją kolbą w plecy krzycząc: "Mołczy!"



A w izbie gminnej zasiedli mężowie kobiet-kołchożnic; mężowie ci mieli świadczyć o winie Ireny Kuran. Sądził Wojenny Trybunał, "trojka" - trzy osoby.

- "Obywatel XY będzie was ~~was~~ bronił z urzędu." - rzekł jeden z trzech Trybunału.

- "Zrzekam się obrony." - odpowiedziała oskarżona.

Po załatwieniu formalnej strony, odczytaniu oskarżenia, zeznaniach świadków oskarżenia, udzielono głosu Irenie Kuran.

- "Jestem Polką aresztowaną po raz trzeci. Protestuję przeciwko białoruskiemu obywatelstwu, które mi wpisano do akt. Nie przyjmowałam nigdy obcego obywatelstwa, ani podczas okupacji Ziemi Wschodniej Polski przez was, jak i podczas okupacji niemieckiej.

Paragrafy 58 punkt 1b "izmiana rodziny" - zdrada ojczyzny, a obecnie ~~zdrada~~ agitacja antypaństwowa, nie mogą odnosić się do mnie i nigdy się do tego nie przyznałam. Swego Kraju nie zdradziłam i niech mnie Bóg skaże, jeśli to miałoby kiedykolwiek nastąpić.

Od chwili aresztowania mnie, pierwszy raz w maju 1940 roku, nie widziałam nic, co mogłoby pokazać jakąś dobrą waszą stronę. Od samego początku - karcery, bicie. Pewnego dnia wprowadzono mnie na śledztwo do pokoju, w którym zobaczyłam leżącego na podłodze, przykrytego szkolnym szynelem mego kolegę - człowieka szmatę - a z pod szynela wyciekała strużka krwi ... Ta szmata ludzka nie zareagowała nawet, kiedy krzyknęłam: "Bandydzi!" Często słyszałam jęki bitych, dochodzące do celi przez zakratowane i zabite deskami okno.

Siedząc w pojedynce dziewięć miesięcy myślałam, a czasu miałam dużo, myślałam, że gdyby na szalę wagi położyć okupanta hitlerowskiego i sowieckiego, która szalka przeważałaby? Zawsze wychodziła mi równowaga"

Przewodniczący "trojki" przerwał chcąc odebrać głos oskarżonej, lecz ponieważ sąd był pokazowy, Irena Kuran zrzekła się obrony, zaprotestowała teraz, że to jej jedyne prawo.

- "Jestem skazywana po raz trzeci, sądzona ocznie - pierwszy raz, poprzednie wyroki były wydawane "osobym sowieszczanijem" Wierchownego Sowietu i należy mi się prawo głosu." I dalej mówiła:

- "Przez wszystkie lata więzień i obozów widziałam upodlenie i nędzę ludzką, łamanie charakterów, osobowości, zmuszanie gwałtem do przyznania się do nie popełnionych win - słabsi ulegali. Nie łatwo jest występować i walczyć przeciwko przemocy.

Wreszcie zesłano mnie na dożywotnią zsyłkę. Nie wierzyłam w to i nie wierzę. Wiem, że wrócę jeszcze do swego Kraju. I będąc tutaj, widząc tyle nieszczęść ludzkich, widząc kołchoz prawie żeński pracowałam nie licząc się z czasem, dniem i nocą, jeśli zaszła potrzeba. W kołchozie widziałam aresztowania i wyroki 15 lat matkom za skradzione, zebrane z pola kłosa, półlitrowe butelki pszenicy dla dzieci, których dwoje umarło z głodu. Paragraf brzmiał: "za kołoski". Mam nagrodę za dobrą pracę, dowodem sympatii jest serce okazane mi przez wasze - świadkowie - rodziny, żony stojące teraz przed gminą. Z trudem udało mi się zaprenumerować centralną prasę, czytałam książki największych waszych pisarzy i poetów, po książki jeździłam trzydzieści kilometrów do rejonu, chciałam poznać dokładnie kulturę i historię narodu, wśród którego teraz żyłam, chodziłam nawet na wykłady WKPB chcąc poznać dokładnie marksizm. Zdałam egzamin najlepiej z was wszystkich obecnych tu komunistów, ale faktów historycznych, dotyczących mojej ojczyzny, zmienionych, podanych fałszywie, szkalujących mój Kraj, nie mogłam słuchać. Cieszę się, że będę znów w obozie, gdzie są jeszcze tysiące Polaków, chociaż wołałabym być sama, a oni w Polsce. Nie takimi metodami należy zjednywać sympatię do was i waszego ustroju. Umocniłam się w swoich przekonaniach, znienawidziłam waszą przemoc i za to proszę mnie sądzić."

Wyrok brzmiał: 10 lat.

W powrotnej drodze, w zakrytym, okratowanym wozie-autobusie osądzona wracała do więzienia w Pietropawłowsku.

W jakimś zamieszaniu przy wsiadaniu czy wysiadaniu, któryś z eskortujących żołnierzy zdołał szepnąć więźniarce: - "To pierwszy taki mały wyrok odkąd wozimy na rozprawy więźniów politycznych, zwykle dają 25 lat, ale też nikt takich słów nie wygłaszał." A Irenie Kuran było naprawdę obojętne: 25 - 10 - 100 lat ... Przez cały czas wierzyła, że musi wrócić.

Osądzona trzecim wyrokiem odsiedziała tylko trzy i pół roku i wróciła do Kraju.

Warszawa, 7 marca 1976 r.